

*os m.*

DWÓCH

DWÓCH

RODZONYCH BRACI.

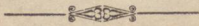
POWIEŚĆ

PRZEZ

BIBIANNE MORACZEWSKA.

CZEŚĆ I

*A. de la Gajda*

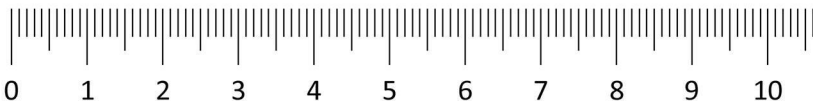


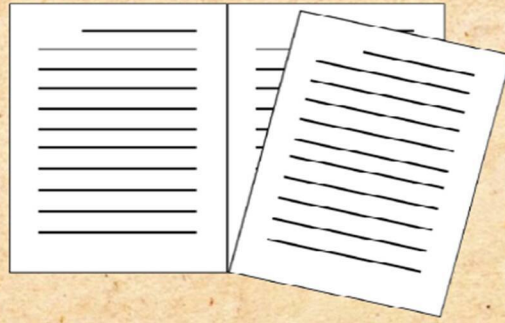
POZNAŃ.

NAKŁADEM I CZCIONKAMI N. KAMIŃSKIEGO I SPÓŁKI.

1859.

*8*





**W woluminie kolejno współprawne sygnatury:**



**225438 I /1**

**225438 I /2**

BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



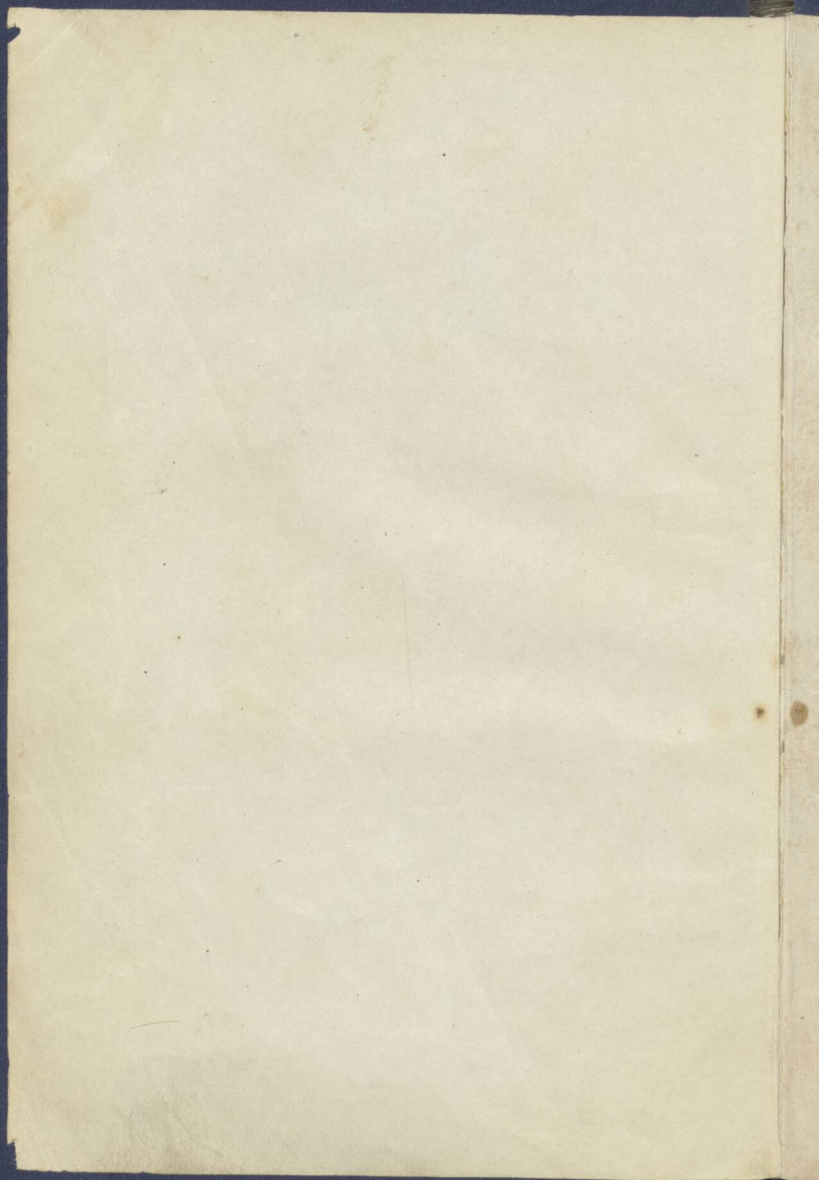
225438

15 LUT. 2000

*Handwritten notes in the top right corner, partially illegible.*



u



DWÓCH

**RODZONYCH BRACI.**

D/VOCH

ROBSON MATH BEVER

*oo m.*

DWÓCH

DWÓCH

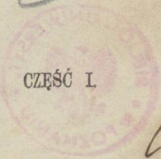
RODZONYCH BRACI.

POWIEŚĆ

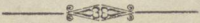
PRZEZ

BIBIANNE MORACZEWSKA.

CZĘŚĆ I



*A. de la Gajda*



POZNAŃ.

NAKŁADEM I CZCIONKAMI N. KAMIENSKIEGO I SPÓŁKI.

1859.

*r*

DWA

RODZAJCZY BRZG

POWIEC

225438 I / 1



ROZAJC

WYDZIAŁ I KATEDRA HISTORII I GEOGRAFII

1948. D. A. 681

I.

## ROZDZIAŁ WSTĘPNY.

---

**T**roje było rodzeństwa Zarębskich dwóch braci i siostra. Ojciec był dzierżawcą dobrze się mającym, wczesnie owdowiał, nie ożenił się powtórnie, lecz sam z troskliwością wychowywał dzieci. Córka była najstarszą, po odebraniu jęj z pensyi nie długo posiedziała w domu, poszła za mąż za pana Radzewskiego właściciela nie złęj wioski. Synowie chodzili do szkół — Jana starszego o lat sześć od Kazimierza po ukończeniu wszystkich klass zatrzymał ojciec przy sobie, chcąc z niego zrobić praktycznego agronoma, tém bardziej że mniej ochoty pokazywał do nauk niż młodszy, przeznaczył mu więc zawód w którym nie tyle głową pracować by potrzebował. Jan łatwego charakteru nie opierał

się woli ojca, lecz mimo przykładu oszczędności i skromnego życia w domu, lgnął do każdego zbytku do każdej drobnój próżności.

W sąsiedztwie Zarębskich mieszkał Leon Świtalski dziedzic pięknej majątności i obszernego pałacu. Ojciec Leona przez długie lata był pełnomocnikiem po bogatych domach, zwolna przychodził do fortunki, nabył na własność rozległe dobra zawikłane w procesa sukcesyjne i graniczne, lecz że był dobrym jurystą i umiał pozyskać protekcyę, pozalałtował szczęśliwie procesa, właścicielom podobno nie wiele co zapłaciwszy. Nie wszyscy téż byli ze sprzedaży kontenci, i jeden z nich przez zemstę, postarał się o dowody i wytoczył proces Świtalskiemu o nieszlachectwo, a tem samem o niemożność posiadania dóbr ziemskich. Było to w roku 1791, wkrótce konstytucyą 3 maja zniesiono kaduki, proces więc upadł, a w kilka lat później po rozbiórce kraju, Świtalski pozyskał tytuł hrabiego i zatarł do reszty zarzut nieszlachectwa.

Obok téj pomyślności majątkowój, nie tyle

był szczęśliwym Świtalski w stosunkach rodzinnych, miał kilkoro dzieci, lecz wszystkie wczesnie umierały, a w końcu i żona. Zostawszy wdowcem z okładem już liczył lat pięćdziesiąt, pomyślał jednak wkrótce o powtórnem ożenieniu. Upatrzył sobie pannę przeszło trzydziestoletnią, bez żadnego majątku, lecz pokrewnioną z wielu znaczniejszemi familiami, bawiącą w zamożnym domu, lubiącą zbytki. Bez trudności pozyskał jój rękę hrabia Świtalski, a dom jego począł się téż zaliczać do pańskich.

Mieli jednego syna Leona, którego matka otaczała zaraz z kołyski cudzoziemcami, bo już w owym czasie tak wychowywano dzieci w wielu majątnych polskich rodzinach. W dojrzałych latach każda obca rzecz była milszą Leonowi niż własna, i wszystko téż miał takie jak tam gdzieś w podrózach za granicą wypatrzył — ubiór, potrawy, umeblowanie, pojazdy, służbę. Nie lubił własnego kraju, czas w nim przebyty uważał za wygnanie. Był coś o rok starszym od Jana Zarębskiego, a w nudach wiejskich wcale był rad z jego towarzystwa.

Jan uważał go za wyższego stanowiskiem i wychowaniem od siebie, i obrał go sobie za wzór do naśladowania. O ile téż mógł usiłował być podobnym do Leona, ubiór nosił zawsze tego samego koloru i kroju, włosy i krawat tak samo ułożone, rozmowę prowadził upstrzoną francuzkami frazesami, zresztą chód, ukłon, gesta, wierną były kopią pałacowego sąsiada. Dosiadał téż konia i odskakiwał od siodła w galopie jak Świtalski, a nawet kilka psów od niego sprowadził ojcu do domu. A ileż to dopiero skrytych było pragnień których Jan nie miał sposobu urzeczywistnić, gdyż ojciec choć nie ubogi ale na zbyteczne rzeczy nie tylko by nieotworzył worka, lecz przewidywał syn, żeby jeszcze musiał wysłuchać długiego napomnienia o oszczędzenia nie wielkiego majątku, jeżeli niechce popaść w ubóstwo.

Po trzech latach przemieszkanych w sąsiedztwie z Leonem, umarł Janowi ojciec. Nie chciał on objąć dzierżawy nader korzystnej po nim, jak krewni i przyjaciele radzili, ale po

ukończonych działach majątkowych z których mu przypadło 40,000 złotych, wyjechał ze Świtalskim za granicę.

Był to czas kuracyi, a choć obadwa cieszyli się najlepszem zdrowiem, pojechali do Karlsbadu. Może Leon nie byłby go tak skwapliwie przyjął za towarzysza podróży, lecz chwilowo zapotrzebował pieniędzy, pożyczył kilka tysięcy od Jana, a nawzajem przyjął obowiązek nie koniecznie mu miły jechania z nim razem do wód.

Kiedy stanęli na miejscu, usuwał się od niego jak mógł Świtalski, tém więcej że choć Jan mówił po francuzku, ale częste błędy robił, co drugiego bardzo zawstydzało, i tłumaczył się przed lepszymi znajomymi, że nie wie sposobu jak się pozbyć tego wiejskiego poczciwego sąsiada, który do tego stopnia naiwny, iż tolerowanie jego towarzystwa w nudach wiejskich, wytłumaczył sobie na jakiś rodzaj przyjaźni. W kilka dni nawet przeprosił Jana że z nim dłużej mieszkać nie może, bo przyjechał jego serdeczny przyjaciel książę X. i prośbami

wymógł na nim żeby się do niego przeprowadził. Jan czuł się dotkniętym tém odsuwaniem Świtalskiego, lecz tą razą delikatność i poczucie własnej godności, zamilkły przed drobną próżnością, wolał narzucać swoje towarzystwo, którego choć z grzecznością ale prawie unikano, niż się rozstać z człowiekiem tak mile widzianym w salonach. Gdzie mu się tóż tylko udało wciskał się przy boku pana Leona jak satelita przy swoim słońcu. Między wielu rodzinami polskimi bawiącemi wtenczas w Karlsbadzie, była pani Czerkieska wdowa, z córką jedynaczką, piękną i uchodzącą za bogatą. Nie potrzebujemy już pewnie dodawać, że te panie były otoczone, mianowicie przez młodych mężczyzn. Pan Leon zrobił znajomość z temi damami, a wkrótce nawet stanął z niemi na takiój stopie, iż towarzystwo polskie w Karlsbadzie uważało go za zdeklarowanego pretendenta do ręki panny Czerkieskiej. Panna mile jego grzeczności przyjmowała, makta przychylnem okiem na niego spoglądała, wszyscy więc inni zaniechali zamiaru

współubiegania się z nim, i Leon bez przeszkody zbliżał się do celu.

Jan bywał także u pani Czerkieskiej, Leon spostrzegł że tu go może zużytkować — zostawił go matce do rozmowy a tymczasem swobodniej sam z panną bawić się będzie. Z wielkiem więc zadowoleniem Jana nieomal zawsze zabierał go tu z sobą, a co więcej zapraszał na każdą wycieczkę w okolicę, a gdzie trzeba było panie prowadzić, skinął na niego żeby matce otylój, mocno zreumatyzmowanój na prawą nogę i potrzebującej rzeczywiście pomocy, podał ramię, a sam przyjął z uśmiechem ciężar pięknej i lekkiego chodu panienki. Lecz Jan tak był uszczęśliwionym z zaszczytu prowadzenia pani Czerkieskiej, że choć nie raz krople potu spadały mu z czoła pod ciężarem zwieszającej się na jego ramie poważnej postaci, uśmiech zadowolenia miał na ustach, szukał wzrokiem na wszystkie strony znajomych, i gestami przyjaznemi lub ukłonem starał się zwrócić uwagę na siebie. Dalej a dalej przyjmował rozmaite drobne interesa do spełnienia pani

Czerkieskiej, czy to kupić bilety na teatr na lepsze miejsce, czy chcącój wyjść z wieczora oznajmić że już pojazd zaszedł i sprowadzić ostrożnie po schodach — wywiedzieć się kto ten lub ów co zwrócił matki lub córki uwagę na promenadzie. Właśnie to wszystko powinien był pan Leon wypełniać jako starający się o rękę córki, ale był zbyt wygodnym jak to zwykł powtarzać, a w dodatku uważał w nazwisku Świtalskich jakąś wyższość nad Czerkieskiemi choć może nie zgadzało by się to z Niesieckim, ale tytuł hrabiego nowość nieznana w przed rozbiorowój Polsce wszystko zastąpił. Bądź jak bądź, dość że się utrzymał Leon na tém stanowisku wyższości rodu, i pozwolił się domyślać wszystkim i samój pani Czerkieskiej, że się chce żenić z panną, li dla osobistych wdzięków i majątku, choć familia nie zupełnie odpowiednia jego nazwisku. Z tego stanowiska wyższości mniej téż sobie kłopotu zadawał niż się zwykle w takich okolicznościach dzieje, i nie spieszył z posługami chyba że ich wyraźnie zażądano, od czego go nie ledwie za-

wsze Jan uwolnił wypełniając w lot każde życzenie jak matki tak córki. Po jakimś czasie pani Czerkieska tak przywykła do tych posług Jana, że się już bez nich obejść nie mogła i często posyłała go prosić do siebie, mając mu do dania wiele poleceń, bo w końcu jak dawała wieczór, biegał za skupowaniem rozmaitych przysmaków, za najęciem porcelany i innych potrzeb herbatowych.

Tymczasem pan Leon zawsze i wszędzie pokazywał się obok matki i córki Czerkieskich — czasami tylko na ranniej przechadzce pospacerował chwilę z niedawno przybyłą baletniczką podobno Hiszpanką, której maurytańskie oczy całą młodzież czarowały. Z takim też zapalem mówił o ich ogniu brylantowym Leon, że aż pannę Czerkieską w zły humor wprowadzał — a kiedy się na publicznym balu tańcerka ukazała, częściej był obok niej niż obok panny Czerkieskiej.

Drugiego dnia po boku na chwilę tylko pobawił na ranniej przechadzce, mówiąc lepszym znajomym: że odebrał list sztafetą od przyja-

ciela z Paryża, w którym go wzywa do siebie w interesie honorowym na sekundanta. Przed wieczorem przyszedł się pożegnać z panią Czerkieską, wynurzając chęć odwiedzenia jęj gdzie zimę przepędzać będzie — lecz kiedy to nastąpi nie był pewien, bo trudno przewidzieć jak długo zmuszonym będzie pobawić w Paryżu. Pannie zaś uściskałszy rączkę, szepnął: „Kocham cię Nimfo!“ spojrział na nią miłośnym okiem, i wyszedł z pokoju.

Pierwsze to było słowo miłości które wyraźnie jęj wypowiedział, wstrząsnęło ją téż żywo, i po wiele razy w myśli mu odrzekła: „I ja cię kocham Leonie!“

Drugiego dnia przy źródle zbliżyła się jakaś dobra znajoma do pani Czerkieskiej. „Dzień dobry! Nimfa taka blada, czy nie chora? — Pan Leon odjechał, ale i baletniczka Hiszpanka odjechała!“ szepnęła matce do ucha.

Następnego dnia już głośno mówiono o wyjeździe Hiszpanki, a za nią w kilka godzin pana Leona. Później odebrał ktoś list donoszący: że piękna tancerka pojechała do Ty-

rolu w towarzystwie jakiegoś Polaka, a na koniec że w Tryeście wszędzie był obok niej, i twierdzono nawet że ją zaślubił.

Życie Polaków u wód zagranicznych, nosi zwykle wszystkie cechy tak nazwanego małego świata — zamknięci w drobném kółko złożonym z ludzi różnorodnych pojęć i usposobień, bez poważniejszego zajęcia, w tych ciągłych tak nazwanych zabawach, drobnieje się jakoś na umyśle, i nieraz bez znaczenia wymówione słowo, roztargnienie, lżejsze lub cięższe pochylenie głowy przy ukłonie, stają się ważnemi kwestyami dyskutowanemi przez wszystkich.

Łatwo sobie wyobrazić co padało z boku spojrzeń na panią Czerkieską i jej córkę, ile razy była mowa o panu Leonie i Hiszpance w ich przytomności, a potem co wyradzało się uwag, wniosków, komentarzy nad każdym wymówionem przez nie słowem — ile dopatrzono upokorzenia w twarzy matki, smutku a nawet i śladu łez w oczach córki. Rzeczywiście pani i panna Czerkieska niczem nie były związane z panem Leonem, a że kłamał czego nie czuł,

to jemu, a nie im ubliżało. Z tém wszystkiém te spojrzenia jakby litośne, spólcucie lepszego serca dam, wnioski których choć nie dosłyszały to przeczuwały — tak je wszystko razem męczyło, jak gdyby rzeczywiście przewinęły, i wyjechały z Karlsbadu nie ukończywszy kuracyi, pod pozorem iż matka potrzebuje rady swego lekarza w Dreźnie.

Stanąwszy w Dreźnie, zaledwie powitały kilka osób znajomych, już uczuły cały ciężar atmosfery Karlsbadzkiej — jedna z serdeczniejszych przyjaciółek pytała oburzona na niecny postępek pana Leona: czy prawda że miał Hiszpankę przed domem w otwartym pojeździe, kiedy wstąpił do nich na pożegnanie? Inna — czy rzeczywiście ten dzień był przeznaczony do zaręczyn z Nimfą w którym odjechał? Inna jeszcze — czy doprawdy od pani Czerkieskiej pożyczył na ten wyjazd pieniędzy? Dość że ile widziały tak nazwanych przyjaciółek, tyle gorzkich pigulek połknąć musiały, pozłożonych zaręczeniami przyjaźni i przywiązania.

Wszystko to razem nie poszło pani Czer-

kieskiej w istocie na zdrowie, kobiecie pysznój w wysokim stopniu, i dumnej z wdzięków swój córki. Postanowiła przez pewien czas z nikim się nie widywać, dopiero jak się Drezno zapelni więcej Polakami, przyjmować młodych mężczyzn, a skoro jeden z nich okaże się pretendentem do ręki córki, zacząć bywać wtenczas w towarzystwach, a ten nowy zalotnik obok Nimfy wybije z pamięci najlepszych przyjaciółek pana Świtalskiego.

Jan Zarębski wkrótce po nich przyjechał do Drezna, pozostał ich domownikiem jak dawniej, już to że jego posług ciągle pani Czerkieska potrzebowała, a potem w odosobnieniu na jakie się wskazały, znosił im wiadomości za którymi nieraz dla nich umyślnie biegał.

Jan był wtenczas w całej świeżości młodzieńczej — giętkiej wyrosłej postaci, regularnych rysów, z okiem ciemno-szafirowém, które Nimfa dostrzegła nieraz z zajęciem w nią się wpatrujące. Ten interes jaki widocznie budziła w dorodnym młodzieńcu wcale jój nie gniewał, bo przecież Jan był mile przyjmowanym

w świecie w którym ona żyła, z powierzchownością dobrą, ubrany elegancko, choćby więc mówiono że się w nią kocha, nie ubliżałoby jej to wcale. Rozpędzała też nudy jak mogła bawiąc się z Janem z całą swobodą, a coraz tkliwsze jego spojrzenia, coraz jej miłszemi były. Matka od czasu jak córka była na wydaniu, tak już nawykła do czułych spojrzeń zwracanych na nią, że Jan wcale jej nie zaniepokoił i swego dawnego z nim obojścia w niczem nie zmieniła.

Tak przepędzili kilka tygodni w Dreźnie, a Jan na dobre się zakochał w pannie Czerkieskiej. Uczucie jego jak płomień nadaremnie przykrywany wykradało się na zewnątrz w każdym spojrzeniu i zagięciu głosu. Nimfę dosięgało nieraz to gorące uczucie mimo jej woli, spływając ku niej po tajemniczych prądach jakie żywsza miłość snuje z własnego serca i zaczepia o uczucie istoty wybranjej.

Kiedy serca młoděj pary były już w tém usposobieniu — panna wprawdzie nie zakochana, ale czująca silny pociąg do Jana, jaki już nie pierwszy raz serce jej oplątał, a który

przenosiła bez żadnych cierpień duszy z jednego na drugiego ubiegających się o jęj sympatyę — wtenczas właśnie pani Czerkieska zaczęła przyjmować gości i zaprosiny na wieczory, bo posażna i piękna Nimfa nie długo czekała za wyraźnym pretendentem do swęj ręki. Nie był to Jan Zarębski — takięj śmiałości z jęgo strony pani Czerkieska ani przypuszczała, była to inna partya nie wyrównywająca jednak panu Leonowi. Matka przyjmowała tęż starającego się z zimną grzecznością, a córka czasami chłodnięj, czasami uprzejmięj, tak że nie dawała nadziei wyraźnie, ale i nie odbierała zupełnie. W skrytości swęj duszy przekładała Jana, nietylko że gorąca miłość tryskająca z jęgo szafirowych oczu ile razy je spotkała, sprawiała jęj miłe drzenie serca, ale cała jęgo zewnętrznosc, taniec nawet, zaczęły się coraz bardzięj podobać w salonach, mianowicie paniom których mlodość przeszła już południe, a które jak wiadomo wyrokują o takich rzeczach.

Już była przeszła większa połowa karna-

wału, kiedy drugiego wieczora po balu zebrało się kilku młodych mężczyzn u pani Czerkieskiej, a między nimi był i Jan Zarębski. Właśnie podano herbatę, a w tém bez meldowania stanął na progu pan Leon Świtalski. Wcale swobodnie zbliżył się powitać panią domu, nadmieniając o powodach które go tak długo w Paryżu zatrzymały przy łóżku rannego przyjaciela z wielką jego tęsknotą — i tkliwie spojrział na Nimfę. Zmieształ się jednak kiedy ta rzuciła mu wzrok niechęci i zwróciła się rozmową do siedzącego naprzeciw niej Jana — a matka zaledwie mu lekkim gestem ręki wskazała krzesło. Zwrócił się więc do gości którzy byli dobrzy jego znajomi i zaczął się dopytywać o różne nowinki drezdeńskie. Lecz i téj rozmowy nie mógł zawiązać na dłużej, gdyż Nimfa żywą prowadząc rozmowę z Janem, całym urokiem swoich czarnych oczu na niego spoglądała, i płonęła lekkim ślicznym rumieńcem jak rzadko. Każdy więc z młodych ludzi radby na siebie zwrócić te urocze spojrzenia, i wpleść się w rozmowę z ślicznych ust pły-

nać. Lecz na próżno — bo najlepsza część tych spojrzeń, i najbardziej ożywiona rozmowa dostawały się Janowi. Matka zrozumiała zemstę córki, i widać że ją w duszy pochwalała z uprzejmości jaką okazywała Janowi.

Pan Leon posiedział z jaką godzinę, ale oprócz lakonicznych odpowiedzi żadnego słowa nie przemówił do niego ani matka ani córka.

Drugiego dnia w godzinie przedobiadowej zawczesnej do oddawania wizyt, wszedł pan Leon do przedpokoju pani Czerskiej. Tu oddał służącemu długi otwarty list napisany po francuzku, z poleceniem aby go zaniósł pani, a on sam na odpowiedź zaczeka.

Pisał do pani Czerkieskiej — iż się wcale nie spodziewał że jego chwilowa fantazyja czy kaprys, mogła dójść do jój i córki uszu. Dziwi się także że tę rzecz mogły wziąć tak na serio, mianowicie ona osoba tak rozsądna, znająca świat i ludzi, jak mogła wybryk młodego człowieka osądzić i karać jak prawdziwy występki? Wybryk jakiego naturalnie mieszkaniac na parafii się nie dopuści. W końcu ją

upraszał o chwilkę pogadanki, a może pozyska jój przebaczenie, na które z niecierpliwością oczekuje w przedpokoju.

Pani Czerkieska przeczytawszy list kazała go poprosić do salonu, bo już po wczorajszej wizycie na połowę go była rozgrzeszyła. Pan Leon był partją której jój córce powszechnie zazdrozczono, i jaka do ukończonych 21 lat życia jeszcze nie była jój się nadarzyła. Jeżeli się z nim tak surowo obeszła, to najpierw chciała trochę go ukarać, a potem aby w kółku w którym żyła powtarzano jak go źle przyjęła, a ztąd aby wnioskowano: jak bardzo i ile musiał naprzepaszać nim mu przebaczone. Kilku świadków wczorajszego jój obejścia się z panem Leonem było dostatecznym dla świata — dziś z nim sam na sam mogła być szczerą.

Przyjęła go téż wcale grzecznie i rozmawiali jak najspokojniej. Pan Leon jak w liście tak i teraz nie zapierał się iż uległ ponętom pięknej tancerki, wykladał tylko poważnej damie w dość śmiałych wyrażeniach, że jest rze-

czą od dawna znaną, iż tak grzeszący młody człowiek, ożeniwszy się jest najlepszym mężem. Zresztą zaklinał się, iż panna Nimfa na chwilę nie przestała mu być drogą, i że pani Czerkieska pojmie to dobrze: iż można dać się oczarować tancerce, a jeszcze zachować przywiązanie dla osoby którą serce wybrało.

Pani Czerkieska zgodziła się z nim na oba te twierdzenia, a on uważał za grzeczność dla niej zmyślić też trochę wtrącając od niechcienia w rozmowę: iż w towarzystwie Hiszpanki nie przebywał jak trzy tygodnie — część zaś czasu przepędził we Włoszech, który to kraj lubił namiętnie, a resztę w swoich dobrach, gdzie się zajął restauracją pałacu i urządzeniem ogrodu, chcąc żeby przyszła pani zastała wszystko wygodne i piękne.

Po tej tak szczęśliwie dla niego ukończonej rozmowie prosił pani Czerkieskiej żeby mu pozwoliła w domu swoim bywać, na co przystała. Co zaś do panny Nimfy, to mu się zdawało że najlepiej zostawić czasowi, a dając jej

dowody czulego przywiązania, ma nadzieję iż ją przebłaga i odzyska dawne względy.

Po naradzeniu się z matką, zdecydował odłożyć swoje widzenie z Nimfą aż do tańczącego wieczorku, który miał być danym za kilka dni w domu wspólnych ich znajomych.

Po odejściu pana Leona matka poszła do pokoju córki aby jej powiedzieć co zaszło. Pannie zabrzmiały całém szyderstwem w duszy jego kłamliwe słowa: „Nimfo! kocham Cię!“ kiedy w świat z tancerką ujeżdżał. Żywo więc powstała na matkę jak go przyjmować mogła. Matka przekładała: że pan Leon majątny, z pięknej familii, dobrze wychowany, jest partya jakiej jeszcze nie miała, a ta jego wycieczka z tancerką: *C'est une escapade de bon genre* — jak się wyraziła — która wprawdzie jest lekkomyślnością, ale nie ubliża jego charakterowi.

„A zresztą, on cię nie przestał na chwilę kochać jak mi zaręczał.“ Mimo takich nauk, serce panny Czerkieskiej zbyt młode jeszcze było, żeby miało już zatracić uczucie godności

kobiecój, jakiém Opatrzność widocznie niewia-  
stę ubogaciła w celach moralnych, a wyższe  
uobyczajenie oddaje mu cześć należną. Nic  
więc dziwnego, że namowy matki oburzyły ją ży-  
wo, a ta nie chcąc jój bardziej przeciw panu Świ-  
talskiemu rozdrażniać, ucięła rozmowę zostawia-  
jąc to czasowi i jemu samemu jak pragnął.

Nie wspomniano téż już wcale jego nazwi-  
ska, i córka była pewną że matkę przekonała.

Nadszedł ów tańczący wieczór na którym  
pan Leon miał się zbliżyć do Nimfy.

Pani Czerkieska z córką weszła do  
salonu już go tam zastały. Skoro téż tylko  
dopatrzył chwilę po temu, zasiadł obok pani  
Czerkieskiój, zawiąawszy z nią rozmowę o którą  
im obojgu wcale nie chodziło, tylko żeby obe-  
cnych przekonać, że nastąpiła zgoda. Nimfa  
sposzregłszy ich tak rozmawiających, za-  
płonęła gniewem i obrażoną dumą kobiecą,  
a choć była gwarem rozmawiających i połową  
dość dużego salonu od nich przedzieloną, zda-  
wało jój się iż słyszy oświadczenie o jój rękę  
i zezwolenie matki. Kiedy tak rozjątrzona

własnymi myślami siedziała z wzrokiem w nich wlepiónym, pan Leon spojrział na nią i uśmiechnął się, a ona w tym uśmiechu słusznie czy nie słusznie, dość że widziała szydzenie z siebie, a fatalne słowa: „Nimfo! kocham cię!“ słyszała w głębi swój duszy wymówione jakby z chichotaniem. W téjże chwili stanął przed nią pan Leon zamawiając do pierwszego kadryla.

„Zamówiona jestem,“ odrzekła mocnym głosem podnosząc się z krzesła i o parę kroków.

Wkrótce taniec się rozpoczął, a pan Leon nienależący do niego, zbliżył się do Nimfy.

„Więc to pan Zarębski taki szczęśliwy że z panią tańczy pierwszy taniec — zazdroszczę mu tego szczęścia.“

Ten frazes zwykłej grzeczności był w téj chwili dla oburzonej na pana Leona i zagniewanej na matkę Nimfy, jakby słowem natchnienia. Pójdę za Zarębskiego — pomyślała — Świtalskiemu dokuczę, matce dokuczę. W nim rozbudzę zazdrość i upokorzenie żem wołała

Zarębskiego jak jego, a matce zmieszam plany, i to wcale nie podług jój gustu.

Napełniona tą myślą spoglądała na Jana w pośród tańca, i czuła że ofiara dokuczenia jak pragnęła, wcale jój przykrą ani trudną będzie. Po skończonym tańcu stanęła na uboczu zatrzymując Jana przy sobie.

„Pan jedyny z wszystkich mię otaczających wychodzisz ze mną szczerze, i wdzięczną mu téż za to jestem,“ mówiła wiewając przy ustach wachlarzem, aby głos nie rozchodził się dalej.

„Dziękuję pani i za to, żeś odgadła choć cząstkę tego co czuję,“ odrzekł Jan głosem drżącym od wzruszenia.

A może ja odgaduję wszystkie tajemnice duszy pana?“ mówiła spuściwszy wzrok i zarumieniwszy się lekko.

Jan patrzył na nią jak w tęcz, i z śmiałością w jaką przed chwilą samby nie był wierzył, szeptał miłośnie przechyliwszy się ku niej.

„Gdybyś pani umiała odgadnąć moje tajemnice, tobys wiedziała jak ją kocham.“

„Wiem i wierzę.“

„A ja czy się téż mogę kiedy spodziewać i wierzyć?“ pytał głosem prawie zapartym w piersiach.

„Możesz pan,“ szepnęła oddalając się od niego.

Po téj rozmowie która skruszyła pierwsze lody, Jan szerzej wypowiedział swoją miłość i wyraźną usłyszał odpowiedź od panny, że gotową jest pójść za niego. Pozostało mu jeszcze oświadczyć swoje zamiary matce, co drugiego dnia uskutečnił.

Nie będziemy opowiadali wszystkich trudności, przykrości, a nawet niegrzeczności, jakie go od matki spotykały aż do chwili ożenienia się z Nimfą. Zaraz po oświadczeniu się, pani Czerkieska powiedziała i jemu i córce, że nigdy na ich połączenie nie zezwoli, i zwracając się do córki dodała: Przygotuj się, że pan Leon będzie naszym codziennym gościem.

„Zobaczymy“ — odparła rozdrażniona je-dynaczka. — A że pan Leon nie będzie naszym codziennym gościem, to się mama wkrótce przekona.

I rzeczywiście raz je tylko odwiedził, drugiego dnia potém bez pożegnania się z niemi nagle z Drezna wyjechał. Jan miał z nim rozmowę przyjacielską w której mu dał do wyboru: albo strzelać się z nim na śmierć, lub wyjechać natychmiast z Drezna.

Pan Leon bez namysłu wybrał wyjazd.

Mimo usunięcia tego niebezpiecznego współzalatnika Jan miał do przebywania wiele cierni i głogów, nim osiągnął pożądaną różę. Rok prawie cały znosił rozmaitego rodzaju duczania ze strony matki, — odslaniały się téż przed nim ujemne strony w charakterze narzeczonej, która w raz rozpoczętej walce z matką ustąpić nie chciała, i głównie dla tego była mu stałą. Po wielu trudnościach, przykrościach, a nawet i znoszonych upokorzeniach, po ciężkiej chorobie matki i częstych szplinach córki, ożenił się nakoniec i odetchnął jak żeglarz co po przebytej burzy stanął nareszcie u portu.

## II.

W czasie ożenienia Jana Zarębskiego, Kazimierz brat młodszy w najlepszém odbywał jeszcze uniwersyteckie nauki, i rok już przeszło miał bratową kiedy ją zobaczył po raz pierwszy. Podróże były w owym czasie dość kosztowne, a fundusze młodzieńca szczupłe, za ledwie wystarczyły na niezbędne potrzeby życia studenckiego.

Po przedstawieniu się bratowej, przyznał w duszy że jest piękną, ale zarazem uczuł chłód dumy z jaką go przyjęła. Dla młodzieńca z delikatnością było to dostateczném, aby zatracił swobodę w obejściu, i wcale nie korzystnie przedstawiał się bratowej, bo sztywnym i nieśmiałym. Jan który go kochał i nawykł cenić jego zdolności umysłowe z dzieciństwa, radby go podniósł w przekonaniu żony, radby ten stosunek zimnej grzeczności rozgrzać serdecznością. Zaczepiał téż kolejno o wszystkie umiejętności jakich się w bracie domyślał, ale że

sam nie miał dosyć umysłowego funduszu na podtrzymanie takiej rozmowy, upadała wkrótce, tém więcej że pani rzadko zasilila ją jakim słówkiem, a wiadomo jak przykro cięży milczenie osoby, do której z obowiązku należy przewodnictwo w rozmowie.

Mimo rozrywek jakie obmyślał i uprzejmiej serdeczności jaką Jan obsypywał brata, duszno mu jednak było w domu, gdzie żona choć okazywała przywiązanie mężowi, zdawała się na chwilę nie zapominać iż go uszczęśliwiła. Zaledwie też Kazmierz posiedział dni kilka w domu braterstwa, i w dwa lata dopiero, po ukończeniu nauk uniwersyteckich przyjechał powtórnie.

W ciągu tego czasu stosunki pp. Janostwa zmieniły się o tyle, że umarła pani Czerkieska, sprzedali wieś w której mieszkali i dobra po matce, i kupili rozległą majątność Kocko, składającą się coś z ośmiu włości. Wystawił Jan co prędzej pałac, który później miał mieć dodane dwa pawilony, choć ten tymczasowy był wcale wspaniały.

Wszystko Kaźmierz zastał tą razą w domu braterstwa urządzone na kosztowną skalę. Jan nie mógł się widocznie oswoić z swemi bogactwami — z rozpromienioną szczęściem twarzą oprowadzał brata po pokojach, zwracał uwagę jego na kobierce, zwierciadła, kanapy, krzesła, i najmniejszy gracyk, opowiadając jak ten lub ów mebel był zamówionym w handlu przez jakiegoś tam reichsgraffa czy księcia, inny nakoniec przez królową, ale on wszystkich podkupił wybierając te rzeczy w Berlinie.

Równy przegląd odbyli pojazdów, koni, nakoniec i psów, których pochodzenie wywodził z jakichś tam dygnitarskich psiarni.

Lokaje z wielkiem zadowoleniem Jana nazywali go hrabią, choć ten tytuł w kilka lat później uzyskał, jak to opowiemy w dalszym ciągu powieści.

Pani Janowa była już matką dwojga dzieci, zawsze równie piękna, wydumniała tylko bardziej jeszcze.

Jan tak był odurzony własnem szczęściem, tak zajęty, żeby on i wszystko w domu jego

wyglądało po pańsku, że choć szczerze się cieszył z przybycia brata, nie miał już czasu uważać, że żona zimniej go prawie przyjęła niż pierwszą razą. Starszy synek pp. Janostwa już mówił, ojciec posadził go na kolana brata, ucząc dziecko że to stryjasek. Chłopczyk wyraz w pamięci zatrzymał, i zaczęł Kazmierza stryjkiem nazywać. Matki przytém nie było, lecz skoro wyraz stryja z ust małego usłyszała, przywołała jego piastunkę mówiąc głosem:

„Proszę cię odzwyczaj go od tego, niech każdemu mówi pan.“

„To go pan hrabia nauczył,“ tłumaczyła się służąca.

„Ale ja nie chcę tego,“ dodała pani z przyciskiem.

Mąż niby téj rozmowy nie słyszał, przynajmniej nie przerwał opowiadania o słynnym malarzu, co malował ściany i sufity w jego pałacu, tak samo jak u króla bawarskiego. Nie namawiał jednak więcej dziecka żeby Kazmierza stryjkiem nazywało.

W czasie tej bytności Kaźmierza w domu braterstwa przyjechał pan Leon Świtalski, półtory mili mieszkający tylko od Kocka. Z państwem Janostwem żył widać na przyjacielskiej stopie, dawną obrazę czas zagładził w duszy młodej kobiety — a zresztą ukarała go srogo jak jój to nieraz powtarzał. Dla Jana miał wielką uprzejmość, nie stawiał już na piedestalu swój osobistości jak dawniej w obejściu z nim, owszem uważał go zupełnie za równego sobie, bo często kiedy chciał oznaczyć wyższe stanowisko jakie oba w społeczeństwie zajmowali, używał wyrazu: *nous-autres*.

W obejściu z panią choć nie przechodził granic światowej grzeczności, było widać z jego strony wyraźne ubieganie się o jój względy, co jój wcale nie musiało być przykrém, bo miała uprzejmość i wesołość jakiej Kaźmierz w codzienném życiu w niój nie dostrzegał.

Wśród dość ożywionej rozmowy usłyszano turkot powozu, i ujrzano kocz czterema koźmi skracający przed pałac.

„To pułkownik Czarkowski!“ wykrzyknął

rozpromieniony radością gospodarz, i wybiegł na jego powitanie.

Pani równie była zelektryzowaną przybyciem gościa, bo pułkownik posiadał piękny majątek i dostojność rodu, którego równość uznawał ze swoim nawet pan Świtalski, lubiący się zaliczać do imion najarystokratyczniejszych, jak się zwykle wyrażał.

Ojciec Zarębskich dzierżawił przez kilkanaście lat wieś od pułkownika i byli z sobą w zażyłości — znał więc dzieci jego jak najlepiej. Spotkawszy Jana w Poznaniu szczerze mu się ucieszył, i z powrotem do domu przyrzekł zboczyć do Kocka. Rad był bardzo zastawszy tu Kaźmierza, przypominając sobie z dziecinnych lat zdatność jego. Po dłuższej rozmowie przekonał się, że nie tylko rozwinął się naukowo, ale jasno zapatruje się na społeczeństwo którego był członkiem, i położył sobie pewien cel do wypełnienia w życiu, mniejsza o to gdzie go Opatrzność postawi, spokojny że znajdzie zadowolenie dopełniając sumiennie swego przeznaczenia.

Skoro się tylko dowiedział, że Kaźmierz choć przeszedł porządkiem kurs prawa na uniwersytecie, słuchał pilnie filozofii dziejów, i wykładu estetyki, miał jednak być rolnikiem; zaproponował mu, aby naukę praktycznego gospodarstwa odbył u niego, co Kaźmierzowi wcale było po myśli, gdyż właśnie zamierzał poduczyć się agronomii, nim ją rozpocznie na własną rękę. Zaraz téż drugiego dnia zabierał go pułkownik z sobą.

Po całorocznym pobycie u pułkownika, na listy Jana pełne gorących prośb, przyjechał Kaźmierz do Kocka, gdzie i państwo domu co tylko byli zjechali po przepędzonej zimie w mieście. Jan bardzo był zatrudnionym budowlami, jakiemi upiększał niedawno nabyte dobra, również jak przeglądaniem gospodarstwa, korzystając z kilku miesięcy które z początkiem lata przemieszkać mieli na wsi. Żona jego za to nie wiedziała co z czasem począć, jak w tém monotonném życiu wiejskiém rozpedzić nudy. Była majątną, uważała więc za

jedyne swoje przeznaczenie na ziemi bezustannie się bawić.

Pobyty w Kocku były dla niej jakby wygnaniem — sąsiadów prawie nie znała, tak rzadko w domu bywała, iż nie chciało jej się nawet robić znajomości, a zresztą nie czuła pociągu do tych figur na parafii — jak się wyrażała. Jedyne pan Leon Świtalski który ich odwiedzał po kilka razy w tygodniu, lecz tą razą nie był jeszcze wrócił z zimowej wycieczki za granicę.

W tém znudzeniu wiejskiém wcale rada była z przybycia Kaźmierza, a tém go grzeczniej przyjęła iż wiedziała że pułkownik Czarnkowski pokochał go szczerze, wszędzie wspominał o nim z wielkiém poważaniem, i rodzina jego uważała go jakby swego członka. Rok przepędzony na stopie przyjaźni w tak pańskim domu, dodawał młodzieńcowi nie mało wartości w oczach drobiazgowej kobiety. Zabierała tą bytnością Kaźmierzowi nieomal wszystkie dnia godziny na bawienie siebie — czytywał jej powieści, towarzyszył na przechadzki, słu-

chał uważnie ploteczek świata w którym żyła. Nader był łatwym w pożyciu, bez trudności umiał się zastósować do wymagań bratowej, a widząc ile ten przyjazny stósunek uszczęśliwiał brata, tém chętniej dogadzał upodobaniom kobiety potrzebującej ciągłej rozrywki. Wybrał się był Kaźmierz do Kocka na tydzień, lecz próśby brata i uprzejmość bratowej przedłużały jego pobyt z dnia na dzień, a im dłużej bawił, tém pani domu zdawała się więcej go lubić i cenić, w końcu nawet w każdej rozrywce nie myślała już zawsze tylko o sobie, ale się starała i jego bawić. Nie rzadko usiłowała prowadzić pogadankę stósowną do jego wyższości umysłowej, słuchała z interesem jego dowodzeń, i po wiele razy powtarzała: żeby była najszczęśliwszą mieć co najczęściej taką rozmowę — ale mój mąż nie lubi pracować umysłowo — dodawała nie raz z westchnieniem.

W chwilach większej wesołości z naturalnością posuniętą nie raz aż do naiwności, prawiła co jój myśl nasunęła — badała tajemnice serca szwagra, śmiała się, żartowała jak z ro-

dzonym bratem. Z każdym téż dniem dawne uprzedzenie Kaźmierza do niej zacierało się, a jój obejście coraz serdeczniejsze ujmowało go, aż w końcu widocznie przerodziło się w sympatyę.

W jednostajném niczém nie urozmaiconém życiu na wsi, to rozbudzenie całej skali uczuć w duszy młodzieńca, od niechęci aż do silnej sympaty, było dość miłą rozrywką dla pani Zarębskiej — pod temi wrażeniami czas jakós prędzėj ubiegał, i wydobyła się z ciężkich nudów na które już sobie rady nie wiedziała.

Kiedy Kaźmierz wywzajemniał się bratowėj szczerą wylaną przychylnością, i w częstych poufnych rozmowach przebiegając z przedmiotu na przedmiot wypowiadali wzajemnie co im myśl nasunęła, ona mu raz po raz wspomniała o wrażeniach jakie mimowolnie wywierała na serca mężkie, i ile potém kłopotów i przykrości przechodziła żeby od siebie usunąć rozkochanego. W pierwszej chwili nie umiał Kaźmierz ukryć że mu to przykrém było słyszeć z ust zamężnej kobiety, lecz częstszém powtórzeniem jakós go oswoiła z pojęciami swemi

i z usposobieniem, które w bliższych stosunkach cechowała otwartość, może czasem za daleko posunęła — tak przynajmniej o tej ostatniej stronie swego charakteru mówiła pani Janowa, nazywając to błędem z którego się poprawić nie umie.

Przepędził już coś trzy tygodnie Kaźmierz w domu braterstwa, kiedy po upale dziennym czerwcowym wyszedł z panią na przechadzkę. Podał jej jak zwykle rękę i zapuścili się w głąb ogrodu.

Młodzieniec z rozkoszą odetchnął całą pierśią świeżością wieczornego powietrza, wonią kwitnących krzewów i kwiatów, i z upodobaniem obejmował okiem naturę przystrojoną w całą wiosenną uroczystość, której dopełniał śpiew słowików ukrytych w gęstwinie drzew. Pod tém wrażeniem wyraz jego twarzy wybijający powagę mężką, zmiękł, pani westchnęła i zaczęła mówić o wpływie tajemniczym natury na tkliwsze serca, a Kaźmierz wyraźniej usiłował określić harmonijną piękność, która tak silnie porusza dusze ludzkie.

Widocznie oboje zdawali się być głęboko poruszeni uroczą pięknością co ich otaczała, bo nie zawiązali między sobą poufnój pogadanki jak się to zwykle na przechadzkach działo, lecz pani zamysłona słała melancholnie spojrzenia na wszystkie strony ogrodu, a młodzieniec w jakimś poważném zadumaniu milczący posuwał się obok niój.

Po dość długiěj przechadzce nadszedł wieczór z księżycem w pełni i błyszczącemi gwiazdami na niebie bez żadnej chmurki — pani zmęczona usiadła na kamiennój ławeczce wskazując miejsce Kaźmierzowi przy sobie. Księżyc w całym blasku oświecał jój wyrosłą postać, twarz bladą mającą w sobie coś wschodniego, bogate czarne loki oddzielone u czoła, spływające na białą pełną szyję krepowym niebieskim szalikiem na pół przysłoniętą. Nagle ujęła obok siedzącego za rękę, utopiła długie przenikliwe spojrzenie w jego obliczu — on zdrzał, żywym rumieńcem zapłonął.

„Kaźmierzu ja cię kocham“ — szepnęła skłaniając głowę ku jego ramieniu.

„Nie chcę téj miłości!“ odparł z przerażeniem młodzieniec, porwał się z miejsca i uchodził z ogrodu jak szalony.

Czy to wyznanie występnej miłości z ust czarującej wdziękami kobiety, wniknęło do serca dwudziestopięcioletniego młodzieńca, nie wiemy, tyle tylko możemy powiedzieć, że poszedł z ogrodu wprost do swego pokoju, herbaty z braterstwem nie pił tłumacząc się bólem głowy, i drugiego dnia bez wiedzy Jana bardzo rano kazał sobie dać konie i odjechał, zostawiwszy list w którym bratu robił wyznanie, iż się zakochał w młodej osobie mieszkającej w okolicy pułkownika Czarnkowskiego, że już od kilku dni czuł niewypowiedzianą tęsknotę ujrzenia jéj, a że przewiduje żeby brat nie pochwalił jego wyboru dla małego posagu, chcąc oszczędzić téj niemiłej rozmowy dla obu, zegna go listownie, przeprasząc zarazem za tak dziwaczny wyjazd z jego domu. Bratowój załączył podziękowanie za jéj gościnność i uszanowanie.

## III.

Każmierz przez dwa lata ćwicząc się w praktyce gospodarczej, kiedy pułkownik osądził że na własną rękę prowadzić już je może, wziął w dzierżawę dwie wioski. Jan odwiedzał go po kilka razy, zapraszał do siebie, ale Każmierz miał zawsze jakieś powody które mu w tym czasie nie pozwalały z domu wyjechać i obiecał się później. Rozgospodarowawszy się postanowił się ożenić — bo źle być człowiekowi samemu, jak mówi pismo — a najgorzej rolnikowi, dodaje doświadczenie. Z tém większą łatwością zabrał się Każmierz do tego, że spotkał panienkę która mu się bardzo podobala. Była sierotą w żałobie po matce, bawiąca przy siostrze z której mężem był spokrewnionym i kolegą szkolnym, a choć mieszkali o mil kilka, odwiedzali się czasem. Majątek jój był bardzo mały, bo miała tylko 20,000 złotych, lecz patrząc na brata życie,

nie brała go wcale ochota ubiegać się za posażną żoną. Pracę i oszczędność uważał Kaźmierz za nader pewny kapitał, z ufnością też spoglądał w swoją przyszłość. W żonie szukał towarzyski całego życia, nie zaś gotowego kapitału, ztąd kiedy jego serce zrobiło wybór, zastanowił się, czy jój potrzeby są skromne, czy ma ducha porządku i czynności, a przekonawszy się że tak jest, oświadczył się o jój rękę.

Jan obiecał na ślub zjechać, lecz wilią nadszedł list ubolewający że nagła słabość żony zatrzymuje go w domu.

Wkrótce po ślubie powiózł Kaźmierz żonę aby się poznała z braterstwem. Pani Janowa przyjęła ich zimno, sztywnie jak królowa w dramacie. Z nim była trochę ironiczną ale grzeczną, lecz z żoną jego milutką i ładniutką Żosią obchodziła się bez miłosierdzia. Na przywitanie przyjęła ją ukłonem o trzy kroki, co młodą i mało między obcemi bywającą mocno zmieszało. W ciągu jój pobytu prawie na nią nie zwracała uwagi że jest w pokoju, a jeżeli

czasami zawiązała z nią rozmowę, to była o przedmiotach domowych z powszedniego życia. Żosi po kilka razy łzy się w oczach zakręciły, ale widząc że mąż na nią niespokojnie spogląda, zmusiła usta do uśmiechu.

Szczęściem że trzeciego i ostatniego dnia ich pobytu zjechali się goście, których Jan zaprosił nic nie powiedziawszy żonie, bo mu żal było brata, żal i jego Żosi.

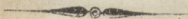
Były więc tańce; pani Kaźmierzowa zręczna, miła i ładna, podobała się wszystkim, pan Leon Świtalski nie mógł się dosyć nachwalić płci delikatnej i gracyi w całej postaci. — Pani Janowa z uśmiechem niedowierzania słuchała tych pochwał o bratowej.

Na drugi dzień odjeżdżali młodzi małżonkowie, a pani domu znów ukłonem z daleka żegnała bratową. Kiedy już byli za wsią, Żosia obróciła się ze łzami w oczach do męża.

„Mój Kaźmierzu! wszakże nie będziesz żądał odemnie żebym tu powtórnie nogę postawiła?”

„Przepraszam cię moja Zosiu, ale nie przewidziałem tego.“

Ucałował jęć ręce, ona się z po za łez uśmiechnęła, i już więćej o swoim pobycie w domu pp. Janostwa nie wspomnieli.



1.

Było to około 1826 roku, a może i później, kiedy siedziało małe gronko osób w wiejskim wykwintnie umeblowanym salonie, składające się z dwóch mężczyzn, jednej pani i trojga małych dzieci kręcących się po pokoju. Piękna była ta grupa — damie coś jeszcze musiało brakować do trzydziestego roku tego popołudnia piękności kobiecój, bo bladawa płeć owalnej twarzy i czarne podłużne oko, miały świeżość i blask młodości. Była to kobieta piękna w całym znaczeniu tego wyrazu, rysy regularne, czoło na pół otwarte mocno narysowane brwiami, usta ładnie skrojone, postać wysoka z wydatnym biustem, szczupła jednak w przepasce. Głowę otaczał krąg lśniących czarnych włosów, a gęste loki zczesane z czoła spadały na białe okrągłe ramiona, tak białe

że muślin sukni którą na sobie miała, zaledwie dostrzedz można gdzie się zaczynał. Wyraz twarzy spokojny, lecz widocznie że w jej piersiach burze niechęci, zazdrości, czy dumy, nie raz przewiały, i zostawiły ślady które się błakały jak przelotne chmurki po czarnych zrenicach. W tej chwili jej lica wybijały pewnością samą siebie, której nabywają kobiety otaczane uwielbieniem mężczyzn, i widoczna wyższość w jakiej stawała przemawiając do jednego z siedzących, a na ustach osiadła lekka ironia, która niekiedy zakrzywiała uśmiechem jedną ich stronę. Starszy z mężczyzn przeszedł trzydziestoletni, wydatnych przedłużonych linii twarzy, zaostzonych wyrazem dumy jakby wyuczonej, w ciągu jednak rozmowy chwilami rozjaśniających się dobroduszością — postaci wyrosłej dość pełny ciała bez otyłości, podwyższony jeszcze noszeniem głowy prostopadłe z plecami. W całej powierzchowności jakaś sztuczna wyniosłość nasuwająca porównanie z księciem przechadzającym się po deskach teatralnych.

Drugi o kilka lat młodszy, drobniejszych rysów niż pierwszy, miał z nim jednak co do linii twarzy wielkie podobieństwo, tylko czoło większe i na niem zamiast dumy szlachetność, a w oczach równie niebieskich i niezbyt dużych jak u starszego, głębsza myśl się żarzyła. Postać szczuplejsza, głowa swobodniej osadzona, czyniły go na pozór o wiele niższego wzrostem od pierwszego, choć zaledwie ten go przechodził połową głowy. Troje dzieci, dwóch chłopczyków i dziewczynka, śmiałyby mogły z obłoków przyglądać się Rafaelowskiej Madonie.

Byli to bracia Zarębscy i żona starszego pani Janowa.

Choć rozmowa płynęła dość ożywiona, widocznie jakiś przymus ciążył obu braciom na sercu. Jan raz po raz dopelniał i objaśniał słowa żony spoglądając z niespokojnością na brata czy się nie uczuł w czém nie mile dotkniętym, a Kazimierz choć z wyrazem dobroci na licach słuchał i brał udział w rozmowie, jednak smutek w oczach i gorzki uśmiech na ustach często mu osiadał.

Rozmowa toczyła się o zabawach berlińskich gdzie państwo Janostwo zimę przepędzili. Pani gładząc kordonek srebrny i szafirowy z których woreczek dzierżgała, mówiła nie podnosząc wzroku od robótki.

„Śmiało mogę mówić że po dworskich nasze bale były najświetniejsze, ja zajęłam się doborem osób i tyle dokazałam, że na żadnym nie brakowało ani jednego ministra i ambasadora, ani jednego generała — a Żancio tak wykwintną umiał zadysponować kolacją, salon urządzić, muzykę dobrać, że za każdą razą nie mogłam się wstrzymać od uśmiechu, widząc zadziwienie na twarzach wchodzących gości. Pocziwy mój Żancio dużo mi przyjemności tém sprawił.“ I wyciągła do siedzącego męża naprzeciwko rękę, którą ten czule ucałował. Na Kaźmierza rzuciła przelotne spojrzenie, a widząc że ze spuszczonego wzrokiem słuchał jęj gładząc ciemny wąs, jedną stronę ust rozchyliła uśmiechem prawie niedostrzeżonym.

„Mojem zdaniem honor Polaków tego wymaga, że kiedy się występuje za granicą, to

tak, żeby cudzoziemcom zaimponować," mówił Jan zwracając się do brata.

„Jabym zaś sądził, że w dziewiętnastym wieku nie zdobywa się godności osobistej uczciami, a tém mniej czci dla całego kraju.“

„Ale temu pan nie zaprzeczysz, że w ucywilizowanym świecie znajomość życia wyższego towarzystwa i dobry gust we wszystkim, mają jakąś cenę“ odrzekła za męża żona.

„Niewątpliwie — bo są dowodem wyższego uobyczajenia.“

„A więc kto za granicą gasi przepychem i dobrym gustem wszystkich, daje dowody wyższej cywilizacyi, a tém samym utrzymuje honor swego kraju. — Widzisz więc mój Kazmierzu żeśmy się na jedno zgodzili“ dorzucił z zadowoleniem Jan.

„Broń Boże! nie zgadzam się na to — odrzekł drugi. Najpierw że cywilizacyi swego narodu nikt po świecie nie kolporteruje, a jeżeli to kto robi, to napróżno. Cywilizacya jest wpływem dziejów, objawia się więc nie ustawieniem świeczników i półmisków na stole, nie

cukrami wziętymi z cudzoziemskiej cukierni, i tańcami wygrywanemi przez obcych muzyków, ale pracą która się toczy przez wieki i pokolenia, podbija naturę, wyciska na nią piętno ludzkiego działania, zdobywając coraz wyższe obszary świata duchowego, gdzie też znajduje coraz nowsze i potężniejsze pomysły do swej wiekowej pracy.“

„Słuchaj! słuchaj Nimfusi! to jakbyś była na prelekcji Hegla“ mówił Jan ukontentowany że brat tak mądrze prawił, bo czém mógł rad go podnosił w przekonaniu żony.

„Więc my kolporterami co roznoszą po świecie rzeczy bez pożytku. Otóż śliczny komplement,“ ozwała się pani lekko brwi ścisnawszy, nie podniósłszy oczu od robótki.

„Ale kolporterami salonowymi, w śliczném karnawałowém przebraniu,“ pospieszył mąż z odpowiedzią, przewidując że brat zbędzie żonę milczeniem.

Pani Janowa spojrzała na Kazmierza, i uśmiechnęła się naprzód sama do siebie, mówiąc: „Gdyby stosunki pana inaczej się były

ułożyły, czybyś się pan był postarał o tytuł hrabiego?“

„Jeżeli pani nie znasz mego przekonania pod tym względem, to osoba tak bystra jak pani łatwo je odgadnie.“

„Doprawdy że nie mogę odgadnąć,“ mówiła z tym samym uśmiechem.

„Nie starałbym się.“

„A to dzięki Bogu że mój Zancio więcej postępowy od pana. Bo pewnie pan nie wiesz, Zancio może panu nie mówił, iż mu landrat wczoraj doniósł przez umyślnego posłańca, że podanie o tytuł hrabiowski zostało przyjęte, i w tych dniach dyplom na hrabiego odbierze.“

Kazmierz na połowę uwierzył słowom mówiącej i spojrzął na brata — było to wystarczającym i nie potrzebował bliższego wyjaśnienia.

„Nie mówiłem ci o tém, bo wiem że cię to nie interesuje,“ rzekł Jan zmieszany.

„Choć nam pan dowodziłeś teoretycznie, że dawanie bali nie miało celu, a myśmy pana przekonali praktycznie, że cel miały i wielki,

bo inaczej nie bylibyśmy się dali poznać i tytuł hrabiego nie byłby mego męża doszedł“ mówiła wpatrując się z uśmiechem w Kaźmierza który uważnie zdawał jej się słuchać, przynajmniej miał twarz na nią zwróconą, choć może dla tego żeby swém spojrzeniem nie mieszać brata. Nic jednak nie odpowiedział, a ona po chwili dodała:

„Małym kosztem przyszliśmy do tytułu, bo karnawał niewiele co więcej jak 20,000 talarów nas kosztował.“

Jan powtórnie się rozczewienił choć brat na niego nie patrzył i pomruknął: „Nie tyle.“

„Boś nie prowadził rachunku, ale łatwo obliczyć.“ I zwróciła się do Kaźmierza z uśmiechem w oczach i na ustach jakby się chciała naigrawać z gorzkiego uczucia, co zmieszane ze smutkiem oblało mu lica. „Każdy bal kosztował najmniej tysiąc dukatów, a daliśmy ich pięć. Mieszkaliśmy w Berlinie cztery miesiące, nie opuszczając żadnego balu, a ja dwa razy jednej toalety nie powtórzyłam. Zresztą życie ile kosztowało, samo pomieszkanie mie-

sięcznie 200 talarów. Myślę że gdybyśmy skrupulatnie obliczyli, byłoby do 22,000.“

Kiedy obaj bracia siedzieli ciągle milczący, ona jakby ich chciała rozruszać, mówiła:

„Jeżelibyś pan na przyszły karnawał namówił swoją żonę do księżnej\*), ja jako starsza wiekiem szaperonowałabym jęj. Bo żebyś się już pan nie gniewał na Żancia, poprawimy się i poprzestaniemy na zabawach poznańskich.“

„Gniewać się na Jana? O! nigdy. I wyciągnął rękę do niego — lecz uczuł zimniejsze uściśnienie, nie to jakie mu zwykle brat oddawał. Nie wymówił téż już słów które miał na ustach — bo to zimne uściśnienie padło mu lodem na serce, i wstrzymało od wypowiedzenia otwarcie co czuł w téj chwili. Bystre oko pani Janowęj dostrzegło na licach męża chłód na ten uścisk brata, piękne jęj usta odchyliły się z jednéj strony uśmiechem i coś jakby demonicznego poruszyło jęj czarne źrenice, ale

---

\*) Ludwika księżniczka pruska, małżonka księcia Antoniego Radziwiłła.

tak krótko jak iskra wydobyta z krzemienia, dostateczna jednak do zajęcia palnej materyi.

„Co w tobie każdy wysoko ceni, uwielbia, kto cię tylko zna mój Żancio, to twój mocny charakter, przed którym ja najpierwsza czoło schylam. Nie oglądasz się téż nigdy na to co kto powie, ale robisz co osądzisz dobrém.“

Jan na te słowa żony, otrząsł resztki pomieszania z czoła i odrzekł prawie z dumą:

„Przyjąłbym téż każdy inny zarzut, ale brakiem charakteru, brakiem odwagi fizycznej czy moralnej pewno nigdy nie zgrzeszę.“

„Pojmuję jak ci musi być przykrém jeżeli cię ktoś o brak charakteru podejrzywa i przypuszcza, że są chwile w których się dajem jakimś słabostkom obalamuć. To prawie ma w sobie coś upokarzającego.“

Jan zrozumiał żonę jak najlepiej, zrozumiał ją i Kaźmierz i spiesznie odrzekł:

„Przypuszczać w kimś omylnosć, a jak to pani nazwałaś słabość charakteru, nie widzę żeby było upokarzającym. Bo któż się z śmiertelnych ludzi nie omyli? Chyba panie — do-

dał spoglądając na bratową złożonemi usty jakby do uśmiechu, których wole upodobania a nawet kaprysy winniśmy przyjmować jako nieomylnie prawdy.“

Ten tak powszedni frazes lekki rumieniec wywołał na lica pani i odpowiedziała z żywością:

„Panowie nigdy nie umiecie w nas rozróżnić woli, upodobania, lub chwilowego żartu, i tę mamy nad wami wyższość, że igraszkę przyjmujecie za prawdę.“

„W czémże wy kobiety nie macie nad nami wyższości?“ mówił Jan z przymileniem do żony wcale rad że rozmowa przeszła na inny przedmiot. Zdaje się że i pani osądziła że na ten raz już dosyć, bo nie poruszyła już tego przedmiotu który wyraźnie przykrym był bratu. Choć przymus dawał się uczuć każdemu, rozmowa jednak nie ustawała, i na pozór zdawało się iż dobrej harmonii pomiędzy nimi nic nie zamąciło, lecz że mówili o rzeczach nie mających związku z dalszym ciągiem naszej powieści, więc jój nie powtarzamy.

## 2.

Tegoż samego dnia po obiedzie obadwaj bracia Zarębscy ruszyli do Zdun, wsi dziedzicznej pana Radzewskiego za którym była ich siostra, a choć siedzieli obok siebie w pojeździe przez cztery dobre godziny, nie dotknęli już choćby najdalej pobytu kosztownego państwa Janostwa w Berlinie.

Było to w końcu maja, słońce chyliło się ku zachodowi kiedy dojeżdżali do Zdun. Jan nie był tu blisko dwa lata, bo część pory letowej przepędzał z żoną u wód, zimę w mieście — od czasu do czasu bawiąc tylko na wsi, a i wtedy był zajęty, to obejrzeniem gospodarstwa, bawieniem gości, lub zebraniem zkad bądź pieniędzy na mającą nastąpić podróż. Wprawdzie gdyby był miał szczerą chęć byłby znalazł czas na przejażdżkę cztero-mi-

lową, ale tak już był nawykł do wygod a nawet wykwintnego życia, że mu się zdawało męczarnią i jeden dzień się bez nich obejść. A tu zewnętrzna fizygnomia nawet domu i podwórza w którym miał gościć była mu przykrą, tém bardziej jak ją porównał z pięknym ogrodem i nowym gustownym pałacykiem w Kocku.

Chaty wiejskie w Zdunach i gumna osłonięte staremi gruszami i klonami, któremi ojcowie nasi osadzali budynki, aby je ubezpieczyć przeciw wiatrom, teraz ukrywały pod swoją wiosenną uśmiechającą zielonością, podzierane dachy i pokrzywione ściany, jak bogactwo popadłe w nędzę drapuje się pozorami dawnego dostatku, i tym sposobem oczy patrzących odwraca od nagiej rzeczywistości. Wieś więc i gumna mianowicie w lecie nie robiły przykrego wrażenia na wjeżdżającego do Zdun, ale za to choćby kto nie został niewolnikiem dobrego bytu jak Jan Zarębski, i mógł znieść gorsze i brzydsze jak jego własne, musiały jednak doznać niemiłego uczucia ujrzawszy się na podwórzu, gdzie wrotnie i płoty na ziemi

leżały, a mimo palącego słońca cuchnąca kałuża dziesięć kroków od domu gościa nos i oczy nie mile witała.

Dwór był wcale duży, murowany, z wysokim dachem, na którym się pstrzyły to gonty, to słoma lub trzcina, a miejscami świeciły dziury; szyby okien potłuczone, poklejone tém co było pod ręką, gazetami, papierami od cukru lub listami. W części domu tak oklejonej była kuchnia i czeladnica, na pańskiej stronie szyby były tylko popękane i kilku wązkiemi zrzywkami papierowemi posklejane. Tuż przed domem leżały kamienie małe i duże, których zajeżdżającemu nie podobna było ominąć, i każdy przebyć musiał skok nie lada, bo jedne leżały płasko, inne sterczały czubkami do góry, a w niektórych miejscach po kilka na kupkę ich się zebrało, Kiedy koła po tych kamieniach zaturkotały, psy zaczęły wypadać z sieni i z po za domu, z jaki tuzin mniejszych i większych, i nuż około koni skakać i czekać. Cały dom był zaalarmowany ujrawszy kocz czterema końmi, a za nim parokonną bryczkę.

Przez szybki szklane pomiędzy papierowymi, wyglądały twarze rozciekawionych dziewczek i chłopaka w niebieskim płóciennym surducie, który ujrzawszy gości spiesznie strzepywał popiół z odzienia, ocierał omurzone palce o kolana, biegnąc do sieni, bo to on pełnił służbę pokojową. Ze sadu rozciągającego się po za dworem, biegło troje małych dzieci, chłopiec starszy, dziewczynki młodsze — najmniejsze nie mogąc zdążyć za drugimi, krzychało na całe gardło. Na progu stał gospodarz domu, pan Radzewski, rumiany, kościsty, nie zbyt wysokiego wzrostu, w ubraniu z siwego sukna mocno wypłowiałem, dla chłodu bez chustki na szyi. Szczerze się gościom ucieszył, z otwartymi ramionami podbiegł pod powóz ich witać.

„To mi to goście, pan Jan i Kazmierz. Choć Kazio łaskawszy, ale co Jaś, to już o biednej naszej chałupie zapomniał.“ I ścisnął przybyłych kolejno.

„No! tłomoki złóżcie tymczasem do sieni — mówił do służącego — a wy jedźcie wyprząd między stodoły. Możecie konie wprowadzić na

bojowicę, bo w stajni podłoga popsuta, a nie chcę broń Boże żeby się czyj koń u mnie skaleczył. Owsa nie mam, ale świeżej paszy, pszenicy i trawy bierzcie ile chcecie.“

Tymczasem goście już byli w pokoju, do którego Jan wchodząc o ledwie nie upadł, bo środek progu był się wydeptał, w zimie ze sieni bardzo wiało, czasem nawet śnieg przelatował, przybito więc kawał deski na to wydrążenie. Był to pokój razem bawialny i jadalny, a jeżeli gość na noc został, to mu tu łóżko wstawiano. Nosił téż na ścianach i meblach ślady tych rozmaitych przeznaczeń, bo żółta wełniana mora, na kanapie i krzesłach ustawionych rzędem pod dwoma ścianami, była zaplamiona wszystkimi potrawami jakie jadano, tak przy gościach jak na codzień, od rosolu aż do kompotu, od zupy grochowej aż do schabu z kapustą. Ściany niebiesko pościągnięte przez mularza, nie bardzo mu się udały, bo miejscami lazurowe jak włoskie niebo, a dalej ciemno granatowe. Do tego jeszcze od dołu jak daleko dziecinne rączki dostać mogły

wspiąwszy się na krzesła, były pokreślone w różne szubieniczki, młynki, kółka, linie i gzygzaki, pomazane masłem, miodem, wiśniami, powidłami i innymi dziecinnymi przysmakami. Był to duży pokój o trzech oknach, nad którymi u góry zawieszono draperye z białego muślinu, widocznie nie poruszone rok a może dłużej, pomiędzy oknami zwierciadła w czarnych drewnianych ramach, jedno z utłuczonym rogiem, a drugie na środku jakby piłką lub kamieniem rozbite.

„Złeście mię zastali — mówił pan Radzewski z zakłopotaną miną wchodząc do pokoju — mam tylko jedną butelkę i ta fermentuje. Ale do miasteczka nie daleko, najdalej za dwie godziny wino będzie.“

Szwagrowie zapewniali że wino tylko przy obiedzie piją, że w taki upał wcale go nie piją, ale gospodarz ani ich chciał słuchać — bo cieszyć się gościowi, a nie poczęstować go winem, zdawało mu się rzeczą całkiem nie loiczną. Cekał też tylko wnijscia żony do po-

koju aby posłańca pchnąć do miasteczka co  
koń wybiedz może.

Pani Radzewska była kobieta przeszło lat  
trzydzieści mająca, lecz zdająca się o wiele  
starszą, delikatnej i drobnej budowy, jasna  
blondyna — potrzebowała jak wiotka roślina  
w zimie ciepła, w lecie chłodu. Z tém wszy-  
stkiem choć nie ubogo poszła za męż, bo pan  
Radzewski miał Zduny prawie bez długu, wieś  
dobrą, jednak żyła w ciągłym niedostatku, bo  
nieład, bezrząd, brak porządku aż do nieczy-  
stości, te wielkie przywary matki rodziny i pani  
domu rozwinęły się w nią wysoko.

W pierwszych latach swego zamezcia była  
niedbała, leniwa, kluczy od szpizarni sama nie  
trzymała, a od apteczki powierzała każdemu  
słudze, który był pod ręką, ztąd téż nieomal  
zawsze szpizarnia i apteczka bywały próżne,  
i niedostatek dawał się czuć w domu. Zaczęła  
więc być skąpą, żeby ze szpizarni jak najmniej  
wychodziło, i ludzi służebnych jak najtaniej  
opłacić, lecz wcale się nie starała o pomno-  
żenie zasobów téj szpizarni, o usystematyzowa-

nie i rozdzielenie pracy pomiędzy sług tego rzeczywistego kapitału w gospodarstwie wiejskiem, o ich moralność i przywiązanie do siebie i swego mienia, o podniesieniu i ulepszeniu tego wszystkiego co przynosi korzyści i przyczynia się do wygód i uprzyjemnienia skromnego wiejskiego życia.

Skończyło się też na tém, że tylko ci przyjmowali służbę we dworze w Zdunach, których nikt na całą okolicę trzymać nie chciał, a jeżeli lepszego przypadkiem los tu zagnał, to czuł się równie nieszczęśliwym jak na kolonii amerykańskiej Neger, bo kiedy inni zajadali zdobyte skrycie z pańskiej spiżarni i mleczarni rozmaite przekąski, — on był najczęściej głodnym, kiedy spieniężali tajemnie różne produkty a nawet sprzęty domowe państwa — on się nie miał czém od zimna otulić, on jeden w pośród pijanych bywał trzeźwy, i pracował kiedy inni nie robili prawie.

Przy tak zorganizowanym zarządzie domu nie nie pomogło palenie się latem na słońcu, i ziębnięcie zimą na mrozie pani Radzewskiej,

tém więcj że chęć błyszczenia i imponowania sąsiadkom czemkolwiekbaż ciągle ją niepokoiła — czy to jedwabną suknią, nowym kapeluszem, balowym strojem na imieninach, bytnością każdego roku choć na kilku balach u księżnej Radziwiłłowj w Poznaniu, trzymaniem Panny służącj do haftu i t. p. W miarę tych potrzeb i niemożności ich zaspokojenja, budziło się w niej skępstwo w codzienném życiu, za którém równie jak za rozrzutnością idą w parze nieczystość i nieład — bo czystość to ciało, a ład to dusza domowego zarządu, bez nich i anioł stróż zdaje się wypuszczać z pod skrzydeł swoich szczęście rodziny.

Pan Radzewski nie miał wielu przywar żony, bo ani był skąpym, ani próżnym, był tylko niedbałym gospodarzem, gdyż namiętność polowania zapełniała mu nie ledwie całe dnie, nie pozostawało mu na nic już czasu, chyba po zmęczeniu na wypoczynek, lub na rozrywkę z gościem. Gdyby mu żona była dom i życie umiliła, gdyby się był czuł w atmosferze ładu, czystości i dobrego domowego zarządu, gdyby

był widział w codzienném życiu skromny dostatek obok oszczędności, z poczciwą swoją naturą byłby wstąpił sam w siebie niewątpliwie, biegał za przykładem żony około dobra domowego. Teraz jego oka równie jak żony nie raziły ani ściany, ani sprzęty domowe, kałuża im nie cuchnęła, ani obrudzony chłopak posługujący do stołu, odrazy nie budził.

Nadbiegły też na powitanie wujaszków dzieci. Dwie dziewczynki starsza pięcio, a młodsza czteroletnia, wsunęły się do pokoju nieśmiało przez uchylone drzwi, Kaźmierz przywołał je do siebie i uściskał mimo obmurzonych twarzyczek, chłopiec zaś starszy zaglądał ciekawie z po za progu aż go Kaźmierz dostrzegł.

„Na! chodź Kajusiu, ten drugi pan to też wujaszek.“

Kajus ze spuszczoną głową, spoglądając jak mały wilczek, szedł zwolna do przywołującego go ciągle Kaźmierza. Kiedy się zbliżył, ten go uściskał i zaczął ośmielać.

„Uczysz się chłopcze?“

„Na książce?“

„Tak jest, na książce, czytać.“

„Mama chce mię uczyć, ale ja nie cierpię, i zawsze od alamentarza ucieknę.“

„Ale to źle, mój Kajusiu, że się uczyć nie chcesz, przecież już masz ósmy rok.“

„A niech,“ odrzekł już zupełnie ośmielony.

Jan spojrział na dziewczynki które mu się ciekawie przypatrywały, na ich niebieskie zbrukane sukienki, na pończoszki bez podwiązek, i trzewiczki tak zużyte iż się ledwie nóg trzymały, na główki zaplecione, w wiszące dwa warkoczyki pozahaczane widocznie o krzaki agrestu, i zwrócił się do siostry.

„Że im téż nie dasz kapeluszy i rękawiczek, wyglądają jak Indyanki.“

„Józefinku! Klosju! gdzieście podziały kapelusze?“ pytała matka.

„Mój został w brózdzie,“ odrzekła młodsza Klosia.

„Kto widział kapelusze pokładać, powinien być na głowie. A ty Józefinku gdzieś twój podziała?“

„Został w sadzie,“ odrzekła jękając się.

„Łże Józefinka, bo go wsadziła na łeb murzynowi i on go poszarpał.“

„Ale Kajusiu, nie grzecznie mówisz siostrze że łże — to nie ładnie,“ upominał Kaźmierz.

„A jużci łże że został w sadzie. Zawięzała go na łeb murzynowi temu naszemu dużemu czarnemu wyźłowi. Murzyn nie dał do siebie dostąpić, tylko mrucał i kapelusz szarpał. Ja wrzeszczałam a waruj bestya, psia krew.....“

„Kajusiu! Kajusiu!“ zawołała matka upominającym głosem, widząc że Jan ścisnął brwi.

W tój chwili dało się słyszeć w sieni gładkanie kur, pisk kacząt, kurcząt i indycząt, które zapędzono na noc do czeladnej izby, żeby ich szczury nie pozagryzały. Wybiegły tóż dzieci churmem do sieni i rozpoczął się krzyk kobiecey łający dzieci o płoszenie drobiu, potem było słychać kłaśnięcie, i dziewczynka jedna płakać zaczęła. Ten pisk, krzyk i płacz, nie robił najmniejszego wrażenia na pani Radzewskiej, owszem siedząc obok Jana na żółtj kanapie zrobiła wykrzyknik.

„Ach mój Jasiu! zapomniałam ci się spy-

tać. Był tu wczoraj exekutor o podatek, i powiedział że słyshał w landraturze żeś został hrabią. Czy to prawda?“

„Doniósł mi téż landrat o tém, — odrzekł Jan niedbale. — Twój mąż to pewno po wino posyła, a wcale nie potrzebnie bo pić nie będziemy.“ I zbliżył się do okna patrząc na posłańca, co czwałem na koniu ruszał. Właśnie téż pan Radzewski wrócił do pokoju i żona zwróciła się do niego.

„Widzisz mężu że prawdę exekutor mówił. Jaś hrabią został. Jakże się Nimfa musiała ucieszyć. Winszuję ci mój Jasiu“ — kończyła zwróciwszy się do brata który zasiadł na krzesle pod oknem, milczeniem zbywając radość i życzenia siostry.

„Ja ci mój Jasiu nie winszuję, bo twoja kieszeń musiała za to pewnie dobrze zabezpieczyć. Prawda masz na to, toć ci i wolno“ — dodał.

„A na cóżby się téż już przydał majątek, żeby kto oszczędzał na taką rzecz, jak tytuł hrabiego“ — odezwała się pani Radzewska.

„Jak się komu podoba,“ zakończył mąż,

widząc że ta rozmowa szwagrów męczyła. — „Kiedy rozpocziesz stryżą“ — zapytał się Kaźmierza siadając obok niego. I rozpoczęła się o gospodarstwie rozmowa, a pani Radzewska wyszła zadysponować wieczerzą.

W kuchni i czeladnicy jak w czasie pożaru zaczęli ludzie biegać, potrącać się, wrywać jeden drugiemu naczynia z rąk, i kłócić się, bo pani kazała jednemu chwycić kury na pieczone, innego wysyłała po szukanie jaj na wieś, a kucharz który zmęczony przybiegł daleko od grabienia siana, kłął, bo łąki były nie umyte i garnki gdzieś po kątach pochowane. Wszystkie dziewczki które mu się nawijały zabierał do téj pracy, kiedy ktoś drugi odwoływał je znowu i wysyłał w inną stronę, gdyż pokazała się robota naglejsza, niż czyszczenie naczyń — masła do pieczonego i melszejzu nie było. Wszystkie kobiety prawie zabrano do robienia masła, bez którego, jak wóz na kolei bez pary, kolacya z miejsca się ruszyć nie mogła. Pokazało się że i cukru ostatek na kolacyą zabrano, i kawy na rano za

mało było — pchnięto więc drugiego posłańca do miasteczka.

Pani Radzewska wyszedłszy z tego chaosu gospodarczego, ciekawie Jana zaczęła wypytywać, najpierw o rodzaj zabaw i bali w Berlinie, a dalej o stroje kobiet najmodniejsze i najbogatsze, gdyż w owym czasie Berlin był takim wzorem dla poznańskiego, jak dziś Paryż. Tymczasem Kaźmierz z gospodarzem domu wyszli dla obejrzenia powracających z pola owiec, bydła i koni, wszystko to było konwalescenty odzyskujące siły na bujnej trawie po głodnej zimie.

Po odejściu Kaźmierza, Jan z całą swobodą objaśniał zapytania siostry, przytomność brata trochę go krepowała, a widać że to był przedmiot dla niego i łatwy i miły. Z dokładnością nieomal krawca i modystki, opisywał jej teraz materią, krój sukien i stroików, raz po raz przytaczając otyłowaną damę która ten ubiór na sobie miała, a siostra w przelocie układała w myśli, jakby to na nadchodzące imieniny w sąsiedztwie, mieć suknię podobną

w jakiej była księżna, a w Poznaniu na balu stroik taki sam jak francuzka ambasadorowa.

„Cóż téż Nimfa modnych strojów naprzywozić musiała. Czy będziecie w niedzielę w domu?“

„Będziemy! Przyjedź.“

„Powiedz téż jak dzieci ubierają teraz najmodniej. Dla dziewcząt to mi łatwiej o fason, bo jak widząc umiem pannie zadysponować; a mam wcale zręczną pannę. Ale o model dla chłopca to mi daleko trudniej, a Nimfa nie lubi dać formy.“

„Tobie gdyby wiedziała że życzysz sobie jakiego modelu, toby nie odmówiła. Ale to bardzo naturalne że w ogóle nie lubi dawać żadnych form, bo miło to nie jest, kiedy się ma coś modnego, żeby zaraz wszyscy takie same nosili“ \*).

„Ah! ja to bardzo rozumiem, bo kiedy jestem u księżnej i kilka dni w Poznaniu pobawię, to potem moje sąsiadki tak wypatrzą

---

\*) Dodajemy dla czytelniczek: iż przed 30 laty dzienniki mód były rzeczą rzadką po domach naszych.

wszystko co modne u mnie do najmniejszej kokardki, że i miesiąc nie upłynie a one suknie, czepki poprzepinają i poprzerabiają podług moich. Mnie to także przykro, ale tak mię męczą że dam nakoniec. Ale teraz też tak zrobię jak twoja żona, nie dam żadnej formy.“

„Zobaczysz ubranie chłopców cośmy przywieźli z Berlina, tak oryginalne że ręczę że takiego nikt tu nie ma.“

Pani Radzewska aż trochę poczerwieniała. „Ah! mój Janie, opowiedz mi jaki to ubiór.“

„To trzeba widzieć, bo to i kaftanik i pantaleoniki dziwnego kroju.“

„Jak ja zobacę to jednak potrafię krawcowi opisać, a Kajusowi w kaftaniku będzie ładnie.“

W tej chwili drzwi się otworzyły i Kajus z wielkim swoim ukontentowaniem i sióstr, które za nim biegły z głośnym śmiechem, wjechał na wyżle do pokoju, czarnym ogromnym psisku. Ledwie trochę poharcował, kiedy pies spostrzegłszy gości pod stołem, rzucił się na-

gle do nich, a jeździec uderzony silnie o stół, upadł na ziemię z krzykiem. Matka podbiegła go podnieść. Ledwie stanął na nogach, sypnął najgrubszymi obelgami wśród płaczu, i na psa i na siostry, a nawet kulakować je zaczął o swoje upadnięcie. Matka uprowadzała rozżalonego i rozgniewanego chłopca z pokoju, który ciągle jąkał wśród płaczu. „Głupice! kozy brzydkie! — nie daruję im tego! nie daruję!“

Dziewczynki poszturchane na całe gardła się rozplakały uchodząc za matką z pokoju.

Pani Radzewska widać nawykła do podobnych wybuchów niesforenego Kajusia, bo wróciwszy do brata zapytała spokojnie.

„Czy jeszcze Delfinka nie zaczyna mówić po polsku?“

„Już zaczyna rozumieć, ale mówić nie chce“ odrzekł Jan.

„To jest jedno czego wam szczerze zazdroścę. Ah! jakbym ja pragnęła żeby moje dzieci zaraz z kołyski zaczęły mówić po francuzku — dodała z nietajoném westchnieniem. Ale mój mąż nie da się przekonać.“

Jan prawie zdziwiony spojrział na siostrę.  
„Takie francuzki to wymagające. Gdzieżbyś ją ty podziła.“

„Właśnie chodzi o to, że ja ciągle wołam o restaurację domu, o wybudowanie kuchni, a mąż jak we wszystkiém tak i tu trudny. Jednakże zamawiam sobie u was Cécile, jak jój już potrzebować nie będziecie.“

„Ona wiadomości żadnych nie posiada, pisać pewnie nawet nie umie.“

„Mnie téż tylko chodzi o konwersacyą. Jak czas edukacyi na dobre nadejdzie, chcę z dziećmi osiąść w Berlinie lub w Dreźnie.“

„To rzecz kosztowna.“

„Przecież się téż interesa nasze do tego czasu poprawią.“

Jan nie znał interesów państwa Radzewskich, uwierzył więc na połowę projektowi siostry, który wcale mu mile pogłaskał ucho.

Pani Radzewska kochała rzeczywiście bardzo Kaźmierza, odgadywała szlachetną jego duszę i w głębi serca czuła bez porównania więcéj do niego niż do Jana przywiązania....

Lecz próżność posunięta u niej aż do śmieszności, pociągała ją siłą jakby magnetyczną ku Janowi, tém więcej że żona jego i ich dom, były dla niej ideałem elegancyi i przepychu, jakieby rada w własném życiu urzeczywistnić. Do tego jeszcze dumną była ze stanowiska majątkowego które Jan zajmował, z wyjazdów braterstwa za granicę i wykwintności w ich domu. Kiedy téż była z obcemi osobami, często w jój rozmowę wchodzili brat i bratowa Janostwo, rzadko bardzo Kaźmierz i jego żona.

Chociaż pani Radzewska już była za mężem jak się Jan ożenił, nie zawiózł żony do niej, ale przynajmniej umiał temu nadać zręczne i grzeczne pozory, i tak żonę wytłumaczyć, że siostra wcale za złe tego nie brała, i sama dość często w Kocku bywała. Bratowa dosyć uprzejmie ją przyjmowała, bo ze względów towarzyskich nie miała żadnego powodu kwaszenia się na nią. Pani Radzewska choć włosy w warkoczu miała stargane, lecz przykryła je czepeczkiem wcale świeżym i z przodu modnie zaczesła, a z resztą jój cały ubiór,

obejście towarzyskie i rozmowa, miały pewną oglądę. Choć więc bratowa nudziła się kiedy przyszło bawić ją sam na sam, była jednak dla niej pobleżającą, nazywając ją za oczy dobrą kobietą.

Mniej pożądanym gościem dla pani Janowej był pan Radzewski, jego ubiór zaniedbany, powierzchowność dość prostacka, raziły ją, a jeżeli był ktoś z gości, czuła się upokorzoną, że to szwagier męża. Przeczuwał to pan Radzewski, i rzadko bardzo w Kocku bywał, bo jak się wyrażał pół żartem pół na prawdę: że to za wielcy państwo dla niego.

### 3.

Kaźmierz pobawiwszy przez dwa dni u państwa Radzewskich, wracał do domu. Przebywszy pięciomilową przestrzeń, znudzony kilkogodzinną jazdą, z prawdziwą radością ujrzał szczyt wyniosłej gruszy, która panowała nad niskimi budynkami całego Ostrówka, jednej z dwóch wsi które dzierżawił, i dotykała ścian dworku w którym miał powitać swoją Żosię.

Trzeci rok dochodził jak Kaźmierz wziął tę dzierżawę, poratował téż już z większego pustki jakie tu po poprzednich dzierżawcach zastał. Każdego roku po uskromnieniu się z pracą w polu, ściany chat kazał wylepiać, ziemię około nich równać, dachy naprawiać, drogę ciągnącą się przez wieś wynosić, drzewek leśnych — bo szkółki owocowej nie było — sadzić o ile podolał. Kto téż dawniej znał

Ostrówek a teraz tuż przejeżdżał, zdziwiony był tą zmianą w krótkim czasie, tém więcej że nie dziedzie zarządzał. Lecz Kaźmierz zbyt miał wiele litości w sercu nad pracującym ludem, i poczucia piękna w duszy, aby mógł nie zaradzić temu co raziło jego serce i oko. Podwórze od wsi odgradzone było niskim parchanikiem złożonym z nowych i starych desek, gęsto obsadzany małemi brzózkami i wierzbami, które się już teraz ładnie zieleniły i choć w części go przysłaniały — toż samo i od gumien, a tak nie wielka przestrzeń ziemi około dworku oddzielona od inwentarza, zieleniła się równym jak aksamit trawnikiem, poprzerzynanym ścieżkami w różnych kierunkach i droga do zajazdu.

Dworek pański o czterech oknach z frontu, niski, z pokryciem od brzegów gontowém a dalej trzcina, z daleka białł ścianami i jaśniał czystemi oknami osadzonemi w zielone okiennice. O pare kroków od dworka, tak że gałęziami dosięgała narożniój ściany, stała stara rozłożysta grusza, owoc miała ladajaki bo ma-

leńkie gruszcзки tak nazwane polne, lecz za to pełna była gałęzi osłoniętych gęstym liściem dającym mocny cień przez całe lato, a w czasie wiosny w dodatku obfite kwicie roznoszące woń w około. Skoro się Kaźmierz tu sprowadził, kazał zarośle w około niej wykarczować i całe lato w jój cieniu przesiedział, o ile mu czasu pozostało na pracę umysłową. Teraz za staraniem Żosi, brzegi drogi pod nią wyciętej, obsadzone równianką ze stokroci, aurykli i lewandy, a naprzeciw ławeczek ustawionych z dwóch przeciwnych stron, klomby, z wiosny pełne woniejących lilii i róż, a przez lato i jesień strojne w bogate kwiaty georgiin.

Kiedy Kaźmierz na swojej lekkiej bryczce okrążał trawnik dziedzińca, na pewne upatrywał pod gruszą żony i małego sýnka, a Żosia tam siedząca poznawszy nadjeżdżającego, razem z nim stanęła u progu dworku, witając go z rumieńcem radości na twarzy. Mały Tadzio trzepocąc się na rękę piastunki, z uśmiechem nadstawiał rumianej buzi ojcu do ucałowania. Wybiegła też z sieni Basia wiejska



dziewczyna, serdeczném ucałowaniem ręki powitała pana, zabrała kuferek podróżny, zwracając się do pani z zapytaniem: co pan jeść będzie.

Każmierz przyznał się że głodny, bo po lekkim śniadaniu wyjechał ze Zdunów.

Było już dawno po godzinie obiadowej, lecz śpiżarnia Żosi zawsze była tak zaopatrzoną, że niespodziewanie przybyłego było czém nakarmić. W moment téż Basia niosła na tacy wędliny, owocowy i mleczny ser, chleb i masło, a pani szklaną czarkę z siadłą śmietaną i świeżą serwetę, którą przykryła stolik stojący pod gruszą.

Każmierz ucałował rękę żony, Tadzia wzięła piastunka z jego kolan, i z niezmysłowym apetytem zabrał się do skromnego posiłku, opowiadając żonie siedzącej obok niego z robótką w ręku gdzie i jak długo bawił, kogo widział, i co słyszał. Ona ze swéj strony przyznała że za nim bardzo tęskniła, a wczoraj i dziś tak go się już na pewne spodziewała, że każdy turkot kół przejeżdżających przez

wieś, każdy wóz powracający z pola, przykro ją zawodził. Dalej opowiadała mu wypadki dobre i złe w gospodarstwie, i różne mądrości pięć kwartałów mającego Tadzia. Kaźmierz pobawiwszy z godzinę obok żony, pospieszył na przegląd gospodarczy — tydzień blisko nie był w domu, a sam przy pomocy tylko włodarczy, szczegółowo zarządzał. Obejrzawszy wszystko w podwórzu, dosiadł konia i pojechał na drugi folwark pół godziny drogi od Ostrówka leżący.

Po jego oddaleniu się żona otworzyła napowrót książkę którą była złożyła za jego przybyciem i zabrała się do czytania. Było to dzieło historyczne twardo nawet napisane, lecz że młoda kobieta czuła iż jej brak gruntowniejszych wiadomości, że rada z mężem o tém co czytał i wiedział rozmawiała, brała z silną wolą dzieła takie do ręki, a wczytawszy się w nie, wkrótce w nich czerstwy pokarm dla umysłu znalazła, a wiadomo, że skoro się umysł w ten sposób raz i drugi zasili, wnet w tém zasmakuje, tém więcej że myśl człowieka tak jak wszystko

w jego naturze, przez oswojenie się z przedmiotem, nabywa i łatwości. Z prawdziwém téż zajęciem czytała pani Kaźmierzowa poważne dzieła robiąc notatki z miejsc, które uderzyły ją wyższą lub nową myślą, a jakaby rada wziąć na pokarm własnego ducha. Po przeczytaniu miała zwyczaj przyjęty od męża, w krótkości wpisać w przeznaczonój na to książce treść dzieła, dołączając szczegóły zanotowane, ztąd każdą rzecz powtórnie przechodziła, i umysł pojętny z natury po dwuletniém takiém czytaniu znacznie wiadomościami upiększyła.

Już słońce zbliżało się ku zachodowi kiedy odniosła książkę do pokoju i zabrała klucze, bo czas gotowania wieczery nadchodził, a każdy szczegół sama wydawała.

Poszła do chałupki stojącój o kilkanaście kroków od dworku, w którój była kuchnia i czeladnica. Obejrzała czy wszystko w porządku i czystości, lecz kobieta przeznaczona do kuchni, wybrana z potrzebnemi do tego przymiotami, rzadko potrzebowała napomnie-

nia. Zarządziwszy wieczerzą dla czeladzi, której mąż kilkanaście osób na dworskim stole trzymał, nie mając dostatkim wiejskich chat stosownie do obszaru ziemi, wydała i na pański stół, bo skromną była kuchnia pp. Kaźmierzostwa — ta sama kucharka co dla ludzi gotowała i dla nich, ostatnie tylko doprawy i wkładania na półmiski odbywała Wojciechowa, piastunka Tadzia, która w młodości służywała po dworach, potem przez 25 lat była włódką, a owdowiawszy i podchowawszy dzieci przyjęła służbę u słynnych na okolicę państwa w Ostrówku. Z początku w wielu wypadkach gospodarczych była Wojciechowa nauczycielką i przewodniczką pani Kaźmierzowój, lecz po urodzeniu Tadzia kiedy go wyłącznie oddano pod jej opiekę, i pani też już lepiej wdrużona w szczegóły gospodarcze była, Wojciechowa przy niektórych tylko zajęciach została, jako to głównej inspekcji nad kurnikami i chlewami, a w czasie doju zagładanie do obór. Resztę służby domowej pp. Kaźmierzostwa odbywała Basia, młoda, rzeska, wiejska dziew-

czyną, co dzień w białej jak śnieg czapeczce, w sznurówce zielonej na czystej koszulce, na którą w zimie sukienny kabacik zarzucała, w fartuchu i spódniczce z jasnego perkaliku, w obówiu schludnym, miłą była dla oka. Ona to domową bieliznę uprała i wyprasowała, do stołu nakryła, pokoje poczyściła, rano kawę wieczór herbatę robiła, naprawiała co było potrzebnym dla dziecka i z bielizny domowej, bo nic pojętniejszego, pracowitszego i bardziej przywiązanego jak nasze wieśniaczki, jeżeli ktoś umie niemi zakierować. Wszystko też w Ostrówku co uważała Basia państwa własnością to i swoją, o każdej rzeczy mówiła nasze, aż do Tadzia, o którym inaczej nie wspomniała tylko — nasze dziecko.

Teraz kiedy Wojciechowa poszła do przeglądu wieczornego gospodarstwa, ona bawiła Tadzia, i z wielką swoją uciechą, i małca wodząc na pasku puszczała go w ślad za matką, który z głośnym śmiechem czepiał się jej sukni usuwając się przed nim, bo Żosia z ogro-

dniczą konwią w ręku, polewała klomby i grządki kwiatów upiększające siedzenie pod gruszą.

Każmierz wracał od gospodarstwa, z uśmiechem patrzył na świeżą buzię i ubiór synka, na żonę której jasne blond loki spływające od czoła, to przysłaniały, to odkrywały twarz białą i delikatną, teraz przy téj pracy płonąca żywszym rumieńcem. Nie była ona piękną, ale ładną i zajmującą — rysy ściągłe drobne byłyby wcale regularne tylko nosek ku dołowi zbyt ścięty, jaki zwykle psuje regularność linii, lecz wyrazowi twarzy nadaje coś dowcipnego — usteczka śliczne, zwykle w rozmowie umilone słodkim uśmiechem odsłaniały ząbki równe i białe jak perły, oczy jasno niebieskie przezroczyściej czystości, pełne życia i wyrazu dobroci. Dodajmy jeszcze że pleć miała delikatnej blondynki przy jakiej wszystkie inne mają cień żółtawą, postać średniowyrośłą, więcej szczupłą jak pełną, ruchy giętkie harmonijnie się układające z tém co robiła. Teraz miała na sobie różową perkalikową suknię, świeżą z prostotą ale zreżnie skro-

joną, białe perkalowe mankietki i kołnierzyk przypięty gładką złotą broszą. Śmiejąca i wesoła, zajęła męża do swojej pracy, który równie wesoło i ze śmiechem ją odbywał.

Tymczasem Wojciechowa wróciła od gospodarstwa i Tadzia już zasypiającego zabrała do kołyski, Basia odeszła nakryć do herbaty i przygotować wieczerzą państwu, a Kazimierz obok żony usiadł na ławeczce i prowadzili rozmowę to umysłową, to serdeczną, bo jój dawali bieg wolny i płynęła ku której stronie chciała. Żadne z nich nie przeczytało książki, nie wpadło na nową lub szczytną myśl, nie zasmucilo się ani ucieszyło żeby się z drugim nie podzielić. Żosia nawykła przy sercu męża głośno prawie myśleć, bo téż nigdy nie dostrzegła znużenia ani zniecierpliwienia na jego twarzy, kiedy ją słuchał. Lecz ona nawzajem najważniejszych jego myśli, najtrudniejszych kwestyi z dziedziny umiejętności słuchała z interesem, z wolą nauczania się, a wiadomo jak łatwo mężczyźnie kochającemu kobietę wykład taki idzie, jak patrząc w ukochanej lica znaj-

duże wyrazy, jeżeli nie w głowie to w sercu, któremi najzawilszy przedmiot zrozumiałe dla niej wyłoży.

Zajrzyjmy téż z kolei do domku państwa Kaźmierzostwa. Przedzielony był sienią na dwie części. Sień równie jak pokoje były wapnem pobielone, ale że je pociągano każdego roku z wiosny i na jesień, wyglądały zawsze jak w odświętnym stroju wiejska dziewczyna. Sionka zamiast podłogi wyłożona była cegłą; pierwszy i drugi pokój na prawo, jeden na przednią, drugi na tylną część domu wychodzący dwoma oknami, miały podłogi zawoskowane zawsze lśknące, bo Basia szczotką często je przecierała, i kiedy było potrzeba wcale równo ugotowanym woskiem z farbą pociągała. Pierwszy był bawialnym salonikiem, u okien z firankami z białego muślinu dochodzącemi do ziemi w zręcznie ułożone faldy. W obydwóch oknach stały etażerki zastawione kwitnącemi kwiatami, które Żosia przez zimę w świeżej zieloności utrzymać umiała, bo jak teraz lubiła ich kwiecie, tak w porze kiedy cała natura staje

się martwą, cieszyła się ich życiem które umi-  
lało i zdobiło jój skromny salonik. W rogach  
pozapuszczała bluszcze, rozciągając ich wiotkie  
gałązki ku sufitowi przykrywającemu dość ni-  
skie ściany, które wśród téj zielni tém mo-  
cniejszą białością i świeżością wybijały. Po-  
między oknami stało oparte na komodzie zwier-  
ciadło w brzozowych ramach; wszystkie inne  
meble także tu były brzozowe, krzeselka trzciną  
wyplatane, stół podłużny przed kanapą obciąż-  
niętą perkalem w różnobarwne bukiety, a przed  
nią wcale ładny kobierzec upominek weselny  
Żosi od siostry. Przy drzwiach wchodowych  
szafka z książkami po większej części nauko-  
wemi, w większej połowie zakupione oszczę-  
dzonym groszem w czasach studenckich Kaź-  
mierza. Teraz przydawał do nich raz po raz  
coś ważniejszego z dziejów krajowych i agro-  
nomii, a żona prace ulubionych kilku przez  
nią poetów, na co nie raz przez'całe miesiące  
zbierała grosze i półzłotki z produktów, które  
u mniej dbałych gospodyń idą na zmarnowa-  
nie. Dalej stało biurko przy drzwiach do dru-

giego pokoju, w niém chowali swoją wspólną kasę i odbywali całe piśmiennictwo. Przy biurku stał taburet i leżał mały kobierczyk, jedno i drugie haftowane w bukiety robota Żosi. Drugi pokój sypialny również zastawiony skromnymi meblami niezbędnymi do użytku codziennego i z białymi firankami u okien, z dwoma szafami na rzeczy, z zwierciadłem na balansach między oknami opartém na stole toaletowym, i zielonym parawanem który osłaniał kołyskę Tadzia. Trzeci pokój zajmowała Basia i Wojciechowa — tu stały ukryte pod firankami na półkach pudła i pudełka pani, szafki i kufferki na bieliznę — tu w kominku warzyły się kożuszki na śmietance, gotowały zupki dla dziecka, i odbywały inne nagle zapotrzebowane grzania. Czwarty pokój i ostatni łączący się z sienią był jadalnym, a razem audyencyonalnym Kaźmierza w czasie zimnym i słotnym tak z włodarzami w naradach gospodarczych, jak i z wieśniakami. — Miał ten pokój jeszcze trzecie przeznaczenie — stawał się sypialnią dla gościa, jeżeli ktoś z przyjaciół lub bliskich

krewnych pobawił dłużej. Mimo tak wielostronnego użytku i tu było czysto jak w całym domku, bo Basia starannie ścieżki na podłodze w czasie słotnym wykladała woskowanym płótnem i wymywała go częściej niż inne pokoje dworku. Za całe umeblowanie był tu stół duży na środku obity czarną ceratą, dwanaście prostych krzeseł pociągniętych białym pokostem, takąż szafka na sprzęty stołowe, a druga na rejestra i rachunki gospodarcze pana i pani. Lecz i ten pokój ozdobiła Żosia mnóstwem kwiatów ustawionych pod oknami na stolikach, a woń rezydy, lewandy lub werweny, wiała z doniczek i napelniała zapachem pokój.

Wszedłszy do tego domku, — ta staranna czystość, ład, jakiś układ harmonijny, jakaś zgodność we wszystkiém — mile zachwyciły oko i przywiązywały do siebie.

Wszyscy téż sąsiedzi z którymi się państwo Kaźmierstwo poznali, lubili tu bywać. Lecz dla Kaźmierza, a wkrótce i dla Żosi, miłszym nad inne był dom pułkownikostwa

Czarnkowskich, mieszkających w Grodku dobrą milę od Ostrówka.

Starsi oni byli wprawdzie wiekiem od młodych małżonków, bo już córkę mieli na dorastaniu, ale pp. Kazmierzostwo czuli żywą sympatyą do nich i w ich towarzystwie najlepiej im było. Byli to ludzie wysokiej zacności, a prostota w ich obejściu i wdzięk umysłowy, pociągały ku sobie.

Mimo że majątek i położenie towarzyskie czyniły pp. Czarnkowskich pożądanymi w zgiewnych zabawach świata, nie brali jednak w nich udziału, czując zasób w duszy do zużycowania majątku i czasu pożyteczniej.

Pułkownik Czarnkowski choć już dochodził pięćdziesięciu lat, był dotąd niepospolitej piękności i męskiego wdzięku, wyrosły, dobrotuszy, siwy włos wśród ciemnych, gdzie nigdzie zaledwie się bielił nad wyniosłym czołem, a oko bystre i jasne, świeciło jeszcze niezwydłym hartem duszy.

Żona młodsza o jakie lat dziesięć od niego, nader ujmującej powierzchowności i pełna po-

wagi wybijającej w całym jej obejściu, dla każdego bez różnicy miała uprzejmość, ale dla tych w których ceniła wartość moralną była serdeczną, nie kłopotąc się wcale o tło materialne z którego się ich osobistość uwydatniała, ani z akuratnością kramarską sumowała liczby ich majątku. Państwo Kaźmierzostwo byli też zawsze dla niej nader miłymi i pożądanymi gośćmi, na każdym familijném lub sąsiedzkim zebraniu usiłowała ich mieć u siebie, a w czasie roboczym w gospodarstwie, kiedy miarkowała że konie w Ostrówku zajęte pracą, posyłała swój ekwipaż, a jeżeli Kaźmierz nie mógł lub nie miał ochoty przyjechać, uprosiła przynajmniej Żosię — bez której jak mówiła — zabawa w jej domu nie zupełna. Wytańczyła się tu pani Kaźmierzowa przynajmniej kilkakrotnie do roku; o strój się nigdy nie zakłopotowała, bo biała na muślinie haftowana suknia, jasna materyalna lub bareżowa, wcale ją ładnie ubierały, bukiet świeżych kwiatów we włosy i do stanika, i była na bal sąsiedzki gotową.

Pułkownik miał wcale piękną bibliotekę

i z pism czasowych wszystko co ważniejsze, a Kaźmierzowi dawnemu domownikowi wolno było zabierać do czytania co zechciał.

Dość często państwo Czarnkowscy bywali w Ostrówku, wiedzieli że gospodyni nie zakłopotą swoim przybyciem, że co ma w domu tém ich ugości z radością, a choć czego nie ma jak u nich, to się nie zmartwi ani wstydzic będzie. W jasny wieczór zwykle pozostali na kolacyą. Żosia na chwilę zostawiła ich mężowi i zadysponowała wszystko. Kucharka pieczone dobrze piec umiała, Wojciechowa doprawiała komput z konserwów lub świeżego owocu wcale smaczny, Basia do herbaty wszystko przygotowała, czystą bielizną nakryła, masłem, chlebem, krajankami i śmietaną stół zastawiła, i śmiejąca ukazując swoje białe ząbki prosiła państwa do stołu.

Również pożądanym gościem jak pułkownikostwo, był ksiądz proboszcz z Łagiewnik, gdzie była parafia z Ostrówka — w lecie lub czasie suchym w zimie miał dwadzieścia minut drogi ścieżką przez łąkę.

Był to jeden z tych prawdziwych kapłanów o jakich w pośród księży Polaków nie trudno. Przejęty na wskroś swemi obowiązkami jak tkliwy ojciec z miłością je wypełniał, a nie tylko o dobro dusz i szczęście moralne swych parafian się troskał, ale niedostatek materyalny i cierpienia fizyczne łagodził, i jak mógł zaradzał w tych potrzebach. Przytém nie zerwał z naukami świeckimi, ani się usuwał od towarzystwa ludzi prawych i ukształconych, bo sam te przymioty w wysokim stopniu posiadał. Był to człowiek przeszło pięćdziesięcioletni, lecz mimo tego zachował świeżość uczuć i umysłu, i z Kaźmierzem o połowę młodszym od niego, zgadzali się w główniejszych pojęciach nieomal zawsze. W pani Kaźmierzowej cenił przymioty prawdziwie cnotliwej kobiety, która w położeniu w jakim ją Opatrzność postawiła, umiała szczęście rozlewać w około, i w skromnym mieniu czuć się bogatą, bo zadowoloną z tego co posiadała.

Przykładał on się nie mało do ozdobienia jej skromnego domku, bo lubownik kwiatów

i pielęgnując ich dużo u siebie, zaopatrywał ją w najpiękniejsze gatunki, ratował jój własne schorzałe, i nauczał obchodzenia się z niemi. Również nasionka i rozsady jarzynne od niego po większej części pochodziły, oglądał téż zagonki w jój ogrodzie z równym interesem jak swoje własne. Wszystkie nieomal nowalijki z jego inspektów zabierano do Ostrówka, a ksiądz proboszcz stawiał się na nie, bo mu lepiej smakowały kiedy je jadł u wspólnego stołu z sąsiadami.

Rzadkim téż był dzień żeby o sobie nie wiedzieli, i rzeczywiście mieli téż do siebie interesów bez końca, bo razem gazety trzymali i jeżeli w nich było coś ważniejszego, lubili o tém wspólnie pogadać. Pani Kaźmierzowa nie rzadko potrzebowała jakiegś rady, jakiegś pomocy ogrodniczój, lub dla chorego na wsi, bo nie zawsze ufała swój zdatności lekarskiej, a proboszcz przez dłuższą i obszerniejszą od niej praktykę, sływał ze sposobów leczenia na okolicę. Ksiądz ze swój strony tak wkrótce nawykł do ich towarzystwa że je uważał za

najmilsze wytchnięcie po swój pracy, i tęsknił za swemi młodemi parafianami, jak ojciec za ukochanemi dziećmi.

Był też przyjmowany jak prawdziwy przyjaciel, w każdój niepomyślności gospodarczój, w każdój trosce powszedniego życia wynurzano się przed nim, a on radą i pociechą rozpędzał chmurki które na chwilę zasępiły lica małżonków. W takich razach jeżeli go Żosia ujrzała nadchodzącego, wybiegała nie raz naprzeciw niego, i jeżeli mąż był gdzie blisko domu, prowadziła do niego, tak była pewną pociechy którą zawsze znalazł w swój głębokiój religijności i tkliwém sercu.

Przy tych przymiotach serca i umysłu był delikatnym w obejściu, i mimo postaci i ruchów poważnych i na pierwszy rzut oka pewnej surowości w przeciąglém obliczu, łatwym w towarzystwie. Jego obecność w Ostrówku w niczém nie zamąciła ani zmieniła nigdy porządku zatrudnień państwa Kaźmierzostwa. Jeżeli ich zastał oboje przy gospodarstwie, poszedł do tego do którego miał interes lub

ochotę z nim pomówienia, jeżeli ich zaś zastał przy czytaniu, sam wziął także książkę do ręki, lub z cichego czytania przeszli na głośnie.

Takim porządkiem i w takich zajęciach i otoczeniu płynęło życie dzierżawców Ostrówka Zarębskich.

4.

Hrabiostwo Zarebscy idąc za zwyczajem przyjętym przez większą część majątniejszych polskich rodzin, każdą zimę przepędzali w mieście, połowę lata u wód lub na wycieczkach po Europie, a tę część roku tylko która zbywała od bali i podróży, zamieszkali w Kocku. Lecz dla hrabiny i to było za długo, bo tak już nawykła do ciągłych zabaw, że ich potrzebowała nie jak rozrywki, ale się stały celem jęj życia, jedyném zadaniem na ziemi do wypełniania, mimo iż była panią obszernych włości i matką trojga dzieci.

Wprawdzie nie zaniedbywała swoich dzieci, zawsze były pod opieką roztropnej bony, a teraz starszy syn był już we Francyi na pensyi, przy młodszym guwerner Niemiec, a przy córce Angielka. Jeżeli téż które chorowało, pielęgno-

wała je starannie, naganiała grubsze wyrażenia i uczyła form grzeczności. Lecz żeby każda ich myśl, każde uczucie rozwijały się pod jój tchnieniem, przy ciepłe jój serca, na to czasu zabawom ujmować ochoty nie miała, przecież wybrała po temu osoby, które ją jak najlepiej zastąpić mogły, niezem więc na zarzut o niedbałość nie zasługiwała.

Żeby się troskać i kłopotać o szczegóły domowego zarządu, zaprowadzać jakieś drobne oszczędności, nie widziała wcale potrzeby. Była bogatą, dla czegoż nie miała żyć stosownie, i przyjemniej czasu przepędzać jak wśród powszednich zatrudnień? A gdyby jój ktoś był wspomniał, że jest naturalną opiekunką i przewodniczką włościan, że jój obowiązkiem zaglądać w ich położenie moralne i materyalne, byłaby głośnym śmiechem parsknęła. Nic jój zatem nie pozostawało na zapelnienie czasu i rozpedzenie ciężkiej dolegliwości nazwanój nudy, jak szukać odurzenia wśród bezustannych zabaw, na podobieństwo niemyślącego dziecka.

Ztémwszystkiém hrabina nie była bez rozumu, miała go dosyć jakiego potrzebują osoby żyjące w ciągłym zgiełku zabaw. Wystarczy wprawdzie na to pozor w każdej rzeczy, nie potrzeba ani wypracowania talentów, ani nabycia gruntowniejszych wiadomości, ani głębszych myśli — na cóżby się to przydało, gdzie nikt nie ma czasu z uwagą słuchać, z rozważą osądzać; gdzie zamiast rozmowy grają najczęściej w słowa. Nikomu téż tu nie chodzi o istotę rzeczy ale o jój połysk, nie o to co kto wie i umie, ale czy zręcznie popiszę się z tém co wie i umie. Choćby więc tylko dla próżności pobłyszczenia w towarzystwie, nie miała hrabina potrzeby popracowania umysłowo, czy więc była na wsi czy w mieście, musiała szukać rozrywek. Dusza téj biednej kobiety nie mogła już wyjść z tego zaczarowanego koła, była jakby zaklęta wśród zabaw, niby owe królowny w powieściach wsechodnich w kryształowych zamkach.

Hrabina siedziała teraz w bawiałnym salonie w Koeku, przed nią na stoliku książka

i robotka: widać znudziło ją jedno i drugie, bo oparłszy czoło na obu dłoniach poziewała. Podniosła się ażeby zadzwonić, zadysponować konie, i pojechać w sąsiedztwo gdziebądź — była już piąta popołudniu, z gości nikt nie przyjechał, i nie wiedziała co z nudów począć. Przechodząc koło okna ujrzała wjeżdżający w dziedziniec elegancki ekwipaż, i poznała pana Leona Świtalskiego. Nie ożenił się dotąd i mieszkał ciągle w sąsiedztwie Kocka.

Gość lekkim chodem wsunął się do salonu. Choć nie miał więcej jak trzydzieści kilka lat, wierzchnia część głowy zaczęła już na dobre świecić łysiną mimo sztucznie ułożonych włosów, jednakże był to jeszcze wcale przystojny brunet, przynajmniej damy bawiącego się bezustannie świata uważały go za takiego. Rysy twarzy miał dość regularne, może trochę za przeciągłe, lecz układ faworytów jakoś je rozszerzał, cera dawniej bladawa pożółka, i oczy ciemne pomniejszły się ściśnięte zmiarszczkami, postaci szczupłej dość wyrosłej, ruchów lekkich posuwistych, a w tańcu ani pospie-

\*

chem ani giętkością nie dał się wyprzedzić najmłodszym.

Żył zawsze z hrabiostwem na przyjacielskiej stopie, nietylko w sąsiedztwie ale gdziekolwiek się spotkali, czy to w wycieczkach za granicę, czy wśród zabaw karnawałowych. Z panem Janem chodził często ramię w ramię, na uboczu jednak osobom które nie znały bliżej stosunków Zarębskich opowiadał: że to spanoszony ożenieniem dzierżawca, dodając z uśmiechem, iż go z nim łączą wdzięki jego żony. I tak się prawie zdawało, bo zawsze był pełen uprzejmości dla hrabiny, obsypywał ją słodkimi słówkami, do których nieraz dorzucał słodsze jeszcze spojrzenia. Ale bo też pani Janowa mimo przybywających lat zawsze była piękną, w salonach poszukiwaną, i nie jeden znający się na wdziękach kobiecych panicz, pokazywał wyraźnie, że ceni jój powaby.

W gwarze zabaw mniej téż hrabina dbała o grzeczności pana Leona, wtenczas chyba tylko, jeżeli świeższa od niój piękność atrakcją nowości przyciągała do siebie kwiat salonow-

ców, a o niej jakby zapominano. W takim razie uprzejmém okiem odpowiedziała na czulsze spojrzenia pana Świtalskiego, mile uśmiechnęła się na jego słodkie słówka, i potrafiła przy sobie zatrzymać. Ciągłe jój téż powtarzano: że pan Leon został jój wiernym; — ona czasami jakby była tą uwagą znudzona, czasami znowu zdawało to glaskać jój miłość własną.

Teraz z uprzejmym uśmiechem witała wchodzącego pana Świtalskiego, mówiąc:

„Bon jour! Cóż za szczęśliwa myśl panu przyszła przyjechać dziś tutaj. Nie wiedziałam już co z nudów począć, i chciałam pojechać do najkomiczniejszych sąsiadów.“

„A ja nigdy się nie nudzę mając w pamięci śliczną postać pani,“ odrzekł pan Leon spojrzawszy w oczy czule, i uściskawszy na powitanie rączkę hrabiny.

Gość zajął fotel obok pani domu.

„A mąż pani gdzie?“

Pojechał gdzieś w jakichś tam interesach budownictwa.“

„Wraca dziś?”

„Podobno nie. Wyjeżdżając coś mi mówił o dwóch dniach niewrócenia do domu” — odrzekła niedbale.

Pan Leon westchnął z cicha i tkliwiej popatrzył na hrabinę.

„Czyż znowu to nieznośne pan i pani będzie między nami? Nimfo! miej choć cokolwiek nademną litości!” szeptał ujmując białą jej rączkę, i przyciskając do ust spoglądał czule w jej oczy.

Pani uściśnęła z lekka dłoń okrytą jasną świeżą rękawiczką.

„Nimfo! droga Nimfo!” mówił elegant patetycznie — „masz zawsze we mnie stale kochającego cię wielbiciela. Choć czasami do prawdy okrutną jesteś!”

„Bo téż przyznaj mój Leonie, że zasługujesz nieraz aby cię troszkę ukarać,” odrzekła z uśmiechem.

„Czy to aluzia do pani Teresy? W takim razie je vous donne ma parole d'honneur, że jeżeli zdawał się admirować jej oczy, to

dla tego tylko, że podobne do twoich — zawsze dla mnie najpiękniejszych“ dodał powłócząc po jej twarzy wzrokiem. „Ale ty moja królowo, doprawdy tylko na codzien jesteś na mnie łaskawszą.“

„Niewdzięczny! Czyż w ciągu tego karnawału możesz się skarżyć na mnie?“

„A Władzio?“

„Władzio! to dzieciak, który mię swoją naiwnością bawił, jak mój Adolfek.“

„C'est vrai że dzieciak, i dzieciak nieznośny“ przywodził pan Leon z przyciskiem.

Pani rozchyliła uśmiechem jedną stronę ust.

„Rozumiem ten uśmiech czarodziejko! Sądzisz że zazdrośny! O zgadłaś! Jestem zazdrośny każdego twego spojrzenia, każdego twego słowa. Bo też mam troszkę prawa i do twoich względów! Moja miłość dla ciebie dzieiesięć lat stara...“

„Leonie! Leonie! nie róbmy rachunku sumienia, bobyś przegrał“ przerwała mu śmiejąc się hrabina i grożąc palcem.

„Ce sont des peccadilles“ — odrzekł z pół

uśmiechem — bo w domu jego rządziła od kilku miesięcy samowładnie figurantka z jakiegoś niemieckiego teatru, i nie był pewien, czy hrabina o tém nie wie.

„Czy mam cytować?“ pytała żartobliwie.

Pan Leon ujął poufale jęj obie ręce spoglądając czule na nią mówił:

„Dobrze! Ale cytuj także wszystkie uderzenia mego serca dla ciebie! A od roku, od owęj szczęśliwęj chwili, kiedy tu w tym samym salonie byłem u nóg twoich i wyrzekłaś decydywnie że mię kochasz, kiedy pierwszy raz pozwoliłaś się nazywać Nimfą, i zaczęłaś mię nazywać Leonem, od tęg chwili tak prawda jak cię kocham mój aniele, z wszystkich myśli i uczuć tobie jedynęj niosłem całopalenie. Czy to jeszcze nie dosyc?“ pytał całując jęj rączki.

„A na mnie czy się możesz skarzyć od owego czasu?“ mówiła hrabina.

„A Władzio!“ szepnął slaniając głowę i spojrzenie ku nięj.

„Mówię na serio, że to była chwilowa

fantazy, ale nie żadna rzeczywista skłonność. “

„Et votre mari?“ pytał zalotnik.

„Fi!“ odparła skrzywiwszy usta.

„Ach, jakie to przesłiczne to fi, jak ja to lubię,“ mówił ucieszony pan Leon klasnąwszy w dłoń. Więc mnie kochasz jedynie Nimfo! mnie samego tylko kochasz! O mów, a wiecznie cię słuchać będę!“

Nie będziemy powtarzali dalszej rozmowy zepsutej pary, jaka od roku do owego zobopólnego wyznania, toczyła się zwykle między niemi, kiedy byli pewni że ich nikt nie słyszy. Nie uszło to jednak baczości służby pokojowej — a słudzy to najsurowsi sędziowie na wykroczenia państwa, bo czują dobrze, iż od tych od których słowne napomnienia wychodzą, i dobry przykład wychodzić powinien. Szeptala więc domowa służba pomiędzy sobą o występnej miłości pani, opowiadali znajomym, dostało się to i do dworów, i zaczęto o tém mówić po całej okolicy.

Być może że i hrabia domyślał się niewierności żony, lecz tak jój był wdzięcznym za dostatki w jakich opływał, za stanowisko jakie w towarzystwie zajmował, że choć się w duszy martwił, nie byłby się zdobył na skarcenie jój za to.

Hrabiny miłostki z panem Leonem powtórzone na dobre po dziesięciu latach, zdawałyby się prawie niepodobnemi, gdyby nie było znaném co gotowa zrobić kobieta, która nawykła długie lata być przez mężczyzn wielbioną! Jakże jój bolesno, przykro, i prawie niepodobna przywyknąć do myśli, że już nieponętna, że nikt o jój względy się nie ubiega! Choć widzi jasno jak dzień, nie wierzy jeszcze, że najsilniejsze pociski jój oczu, najsztuczniejsze uśmiechy, ulatują z wiatrem i nikt po nie nie sięga.

Hrabina nie doszła była do téj ostateczności — nie jeden młodzik słysząc o jój reputowanej piękności, a nie ufając jeszcze własnemu gustowi, otaczał ją uwielbieniem, równie jak podstarzali eleganci, dla których różnych ga-

tunków i wdzięków kobiety miewają powab, a do tych liczby należał już pan Leon.

A pan Leon w świecie salonowym wcale niepoślednie zajmował miejsce, jużto że się utrzymał na stanowisku wyższości rodu, majątek swój który w młodych latach był nadwreżył, teraz podreparował wielką oszczędnością, która w codzienném życiu stała się prostém skąpstwem, a przytém należał do liczby ludzi nazywających się między sobą z francuzka z lepszego towarzystwa, nibyto lepiej wychowanych od innych. Uważały go téż młodsze panie za przyjemnego i przystojnego, starsze mające córki na wydaniu, bardzo go rade miewały na wieczorach u siebie — a panny prawie bez wyjątku utrzymywały, że się z nim przewybornie tańczy, powtarzały jego dowcipy, widocznie bawiły się jego rozmową, i czulsze spojrzenia z uprzejmością przyjmowały.

Hrabina Zarebska widząc już chylący się ku bankructwie stan swoich wdzięków, bardzo rada była hołdom pana Leona, który nie zaniedbał korzystać ze swego szczęśliwego po-

łożenia, i stał się więcej wymagającym niż dawniej.

Ztémwszystkiém pogodne słońce zdawało się przyświecać pożyciu hrabiostwa Żarebskich — pani byle się tylko nie nudziła, i miała na wszystko czego zapragnęła, o nic się już nie pytała, w nic się mężowi nie mieszała. Mógł budować i wywracać, wycinać lasy i zaciągać długi, nie wspominając jój nawet o tém, bo jak o zarząd domu tak i o zarząd majątku wcale się nie troszczyła — tam mąż, tu kłuznica winni byli o tém myśleć.

Nie miała téż najmniejszej trudności ze strony męża co do zbytków i potrzeby ciągłych zabaw, gdyż był dumny i szczęśliwy, kiedy przed oczyma drugich mógł pobłyszcząć dostatkami, bo téż rozwinęła się w nim cześć jakby bałwochwalcza dla bogactwa. Nie dopytywał się już wcale o wartość moralną człowieka, ale o sumnę majątku jaki posiadał, a w miarę tego zbliżał się do niego z lekceważeniem lub głębszym szacunkiem. Godność osobistą przywiązywał nawet do jada: dobry

obiad u niego zastawiony w dumę go wprawił, a dom w którym przyjmowano gości zbyt kownym stołem i wieczorami, zyskiwał w przekonaniu jego na poważaniu. Lubił téż mówić o jadłe, szczególniej o potrawach należących do wykwinniejszych, i to tak analitycznie, że w niegastronomie budzić musiał odrazę.

Dziwnym jakimś wypadkiem żył hrabia poczęści wśród ludzi, iż w tém nie widzieli żadnej śmieszności, owszem służyło mu to za szczeble po których wstępował na stanowisko powagi i jakby godności obywatelskiej, i jak on niegdyś satelitował przy boku pana Leona, tak teraz w promień jego osobistości niejedną się wciskał.

Hrabia zajmował się dość pilnie gospodarstwem w czasie swego pobytu na wsi, lecz że tu był zaledwie przez kilka miesięcy w roku, niepodobna mu było zaprowadzić jakiegokolwiek kontroli nad zarządem i połączonemi z nim wydatkami, tém więcj że wystawiał nie budynki gospodarcze ale wznosił gmachy, aby się i tu nie dać ubiedz innymi w zbytkowości.

Sprowadził także uczonego cudzoziemca agronoma, i powierzył mu zarząd w całych dobrach; ten od razu zmienił zupełnie dawny sposób gospodarowania, nie mając na względzie ani nakładów ani ubytku dochodów, ambicyonował tylko żeby wszystko było jak najpiękniej na oko. Przy tój nagłej zmianie wsie nic nie przynosiły, owszem potrzebowały ciągłego wkładania, lecz uczony agronom zaręczał, że w następnych latach sownie się to nagrodzi, — o czém i hrabia był pewnym, i dla tego mimo braku dochodów o zmniejszeniu wydatków ani pomyślał.

## 5.

Nie zamierzaliśmy opowiadać po szczególe wydarzeń zaszłych w domach znanych w téj powieści, bo nie skreślamy głównie analizy serc, ale raczój obrazki życia zewnętrznego; a z kilku takich zarysów postanowiliśmy złożyć powieść naszą.

Po kilku latach wracamy znowu do Ostrowka, gdzie mieszkali pp. Kaźmierzostwo Zarebscy dzierzawiąc tę wioskę.

W ciągu tego czasu różne zmiany zaszły w ich stosunkach. Przybyła im córeczka Ludwinia, która już biegła i świegotała jak wesoly ptaszek — miała jasne włoski, niebieskie oczki i słodycz w uśmiechu zupełnie matki. Tadzio już się uczył na dobre, oboje rodzice i ksiądz proboszcz z Łagiewnik byli jego nauczycielami. Ojciec podług planu przyjętego

w szkołach skreślił porządek nauk, wszyscy troje rozdzielili lekcye między siebie, i wykład szedł systematycznie.

Oboje dzieci rozwijały się pod okiem matki, która jak w niemowlęctwie z troskliwością otulała ich drobne ciała, tak teraz każdą myśl w ich główkach i uczucie w sercach rozwijaćby chciała tchnieniem własnej piersi. Tém okiem matki dostrzegła téż nieraz ziarnko złego w dziecinném sercu utajone jak robaczek pod listkami róży, i wrywała je starannie, żeby barwy ani woni nie uszkodzić.

W interesach majątkowych ta zmiana zaszła: iż już od dwóch lat Ostrówko z przyległą wsią było ich własnością. Długi zmusiły dawnego właściciela do téj sprzedaży. Przez lata dzierżawne podwoili swój kapitał majątkowy pp. Kaźmierostwo, mimo że nie mąż ale żona przez rok cały gospodarstwo prowadziła — on poleciwszy rodzinę i dom Bogu pospieżył na niebezpieczeństwa walki.

Za powrotem wszystko zastał jak najlepiej: Zosia nietylko że znalazła moc w duszy

do rozstania się z nim odważnie, ale umiała go w zarządzie gospodarstwa zastąpić. Bo na cóż przy dobrej woli i ciepłe serce siły kobiety nie starczą? Delikatna i wåtła fizycznie, słaba i lękliwa w zwyczajnych warunkach życia, jakież zadziwiające siły znajduje kiedy chodzi o szczęście jój ukochanych! Bo i któż nie wie, że serce to cudowne źródło, z którego tryska nieprzebrana siła nietylko duszy ale i ciała; — któraż z kobiet takiego cudu w życiu swoim nie doświadczyła a przynajmniej z bliska nie widziała?

Ale wróćmy rozpatrzyć się bliżej w cichém i pracowitém życiu Kaźmierostwa Zarębskich, wypełnianych obowiązkami codziennymi, które gdyby zsumowano w życiu ludzkim, wyrównywałyby nieraz wartością najświetniejszym czynom.

W ich dworku wszystko tak samo jak dawniej, rozszerzono go tylko o jeden pokój przeznaczony dla dzieci. Zresztą ta sama czystość i ład w około, tak samo kwiaty w oknach stoją i wonieją — bluszcze tylko rozrosłe za-

krywają większą część ścian i sufitu, zamieniając pokój jakby w grootę pełną wdzięku i świeżości, w jakich podług wyobrażeń starożytnych ludów, lubiły mieszkać boginie.

Zakres ogrodniczy pani Kaźmierzowej rozszerzył się teraz o wiele. W Ostrowku był sad z na pół dzikich śliwek i wisień, a w pośród tego lasu niekształtnych i karłowatych drzew, gdzie niegdzie jak zbłąkane stały stare grusze, jabłonie, lipy i klony.

Tój samej jesieni jak tę włość kupili, ks. proboszcz po naradzie z Zosią, z toporkiem w ręku torował sobie drogę w pośród zarośli, i każdą wyroslejszą śliwkę i wiśnię naznaczał. — Po zasiewach i uskromnieniu się z robotą w polu, dał Kaźmierz zaciężnych ludzi na dni kilka i rozpoczęło się rudowanie dzikich drzewek. —

Po tój przygotowawczej pracy, zjeżdżał pułkownik przez dwa dni do Ostrowka, i obmyślał i kreślił z Zosią i ks. proboszczem przyszły plan ogrodu.

Choć pułkownik w swoich rozległych do-

brach miał ich kilka dobrze utrzymywanych, nigdy może z takim interesem nie zajmował się żadnym jak tu w Ostrowku, gdzie szło o upiększenie i pożytek dla jego zacnych, pracowitych i ukochanych sąsiadów. Nadesłał téż owocowych szczepów, i gatunków ozdobnych krzewów, ile tylko zdołano przed mrozami ziemi pod nie uprawić, i polecił sprytnego wieśniaka, który przez kilka lat pracował u niego, a pod przewodnictwem ks. proboszcza mógł wcale niezłym być ogrodnikiem.

Zaraz téż pierwszego lata w pośród zieleńcych się trawników i z rzadko rozsianych drzew wiły się ścieżki, po których śmiejące się biegały dzieci, a pani Kaźmierzowa i na nie i na ogród z serdeczną radością spoglądała.

W dwa lata plan został zupełnie wykonanym, i ogród choć był niewzrosłym, lecz przy dobrze zaastosowanych pozostałych drzewach, klombach choć jeszcze nie wyrosłych ale już się uwydatniających w pośród starannie utrzymanych trawników, wcale był miłym dla oka.

Upiękniał się téż i dziedziniec, który sta-

nowił całość z ogrodem, a na nim rosnące krzewy i kwiaty, oddane Tadziowi pod opiekę, jakie starannie podlewał i pielęgnował w wolnych od nauki godzinach. Ojciec od najmłodszych lat usiłował w niego wpoić zamiłowanie pracy, i każdej jego zabawie starał się położyć jakiś cel — myśli, pożytku, lub zręczności. Nigdy się też malec nie nudził ani sobie dłużył w dni święta i w godzinach rekreacji, stworzył sobie pełno zatrudnień pożytecznych i przyjemnych.

Każmierz jako dziedzic znalazł w swoich wsiach dużo do poprawy, nietylko w rolnictwie gdzie potrzeba było kosztowniejszych nakładów, ale musiał i budować. Zabrał się do tego z wolna i o tyle tylko o ile własne fundusze mu pozwalały bez zaciągania pożyczki. Z ukształconém pojęciem o sztuce, i stosownie do potrzeb wsi i wartości ziemi, nie murował chlewów, kurników i stodół, jak stolic świata z wiekowo trwałą cegłą, bo nie zamierzał pozostawić w nich dla potomności pomników architektury, — ani zdołał wnijścia do obory

smukłemi kolumnami na jakich wspierali Grecy portyki swych świątyń, lecz budował z miejscowego gotowego materiału, z prostym smakiem zastosowanym do potrzeby, z trwałością obliczoną na jakie sto lat, a taki budynek kosztował go mniej o trzy czwarte, niż budowane na sposób ratuszy albo giełd.

Każmierz pojmował ważne stanowisko, jakie ma zamożniejszy i oświecieńszy człowiek osadzony w pośród ludności wiejskiej, wiedział że jest naturalnym opiekunem i przewodnikiem swoich chłopów, mianowicie w naszym położeniu. Dopełniał też skrupulatnie tych obowiązków — wspomagał nędzę, oświecał ciemnotę, był przykładem w moralności i pracy. Przejęcie się temi obowiązkami dla pana na wsi uważał jako konieczność, jako moralną potrzebę uczciwego człowieka. Zaledwie też kilka lat przemieszkał w Ostrowku, a już między ludem wiejskim i dworem zawiązał się stosunek patryarchalny.

Do dworku p. p. Każmierostwa dolegliwa choroba nudy nie wciskała się też nigdy, czas

ubiegał spiesznie wśród pracy obowiązkowej i zatrudnień umysłowych, po nich rozrywka prawdziwą była przyjemnością — przenosili w nią pełność duszy, jaką nadaje życie mające pewien cel przed sobą.

Jeżeli też Zosia zjechała do państwa Czarnkowskich do Grodka na jaki na przedce złożony balik, jakże się szczerze bawiła. Wesola i swobodna, nie szukająca nic więcej w tańcu jak rozrywki, z równą przyjemnością tańczyła z piętnastoletnim Karolem lub dwunastoletnim Zygmuntem Czarnkowskimi, jak z najdorosłszymi. Nieraz przez kilka godzin jej biała lub bareżowa suknia nie przestała krążyć po salonie, a świeża jeszcze twarzyczka ożywiona zabawą okryła się żywszym rumieńcem. Kazmierz pieścił wtedy okiem jej postać tak widocznie zadowoloną z życia które przy nim wiodła. Pani Czarnkowska szczerze ją też kochała, ceniła przymioty jej serca, i nie pozwoliła żeby miała opuścić jaką zabawę w jej domu, utrzymując że bez niej o połowę mniej wesola.

Przypatrzmy się téż bliżej pułkownikowi Czarnkóowskiemu, któregośmy już po kilka razy w téj powieści wspominali, a mianowicie ile miał wartości jako obywatel kraju, jako członek społeczeństwa, obowiązki które stanowisko jego towarzyskie i majątkowe wkładały na niego.

Dawniej panowie polscy jeżeli przychodzili do powagi i otoczeni byli szacunkiem, to nie dla tego że posiadali majątek, ale jedynie że żadnemu przez myśl nie przeszło, iż dostatki jakie posiada miały służyć na wyłączny jego użytek. Uważali oni raczej siebie jako szafarzy powierzonego im od Boga majątku; bo ileżto razy oddawali znaczną część z niego na potrzeby kraju, licząc to nie do ofiar ale do powinności? A każdy z nich chował na swoim dworze, edukował i wyposażał uboższą młodzież, wypuszczał wioski w dożywocie bezpłatnie, fundował zakłady naukowe, pobożne, lub miłosierne. Śmiało powiedzieć można, że znaczniejsza część dochodów rozdana była uboższemu, a obdarzający nietylko nie uważał tego

ze swęj strony za poświęcenie, lecz mu nawet przez myśl nie przeszło, iż ma majątek na to, żeby go sam spożywał.

Ten podział z uboższymi braćmi stał się obowiązkiem uświęconym obyczajami, i pan, któryby swoim mieniem nie dzielił się z drugimi, nie miał ani znaczenia ani szacunku. Nikt się też nie ośmielił obracać na swój wyłączny użytek swoich majątności, żaden z bogatych ludzi nie uzmysłowił się w próżniactwie, każdy krzątał się około tego, aby uczynić zadosyć szafarstwu powierzonemu mu przez Opatrzność.

Pułkownik Czarnkowski nie odstąpił nigdy od tych cnót tradycjonalnych, przekonywając całém swoim życiem, że nie masz położenia na świecie, gdzieby człowiek nie znalazł pola do działania.

Potrzeby jego własne skromne były, ubiór, ekwipaże, kuchnia, służba pokojowa, takie jak u sąsiadów dwuwioskowych, choć majątek liczył na miliony. Zwykle ludzie wznioślejszego usposobienia wyższe miewają pragnienie godne

swój natury, a życie ich zewnętrzne cechuje prostota i skromność. Pułkownik Czarnkowski umiał sobie stworzyć życie godne człowieka obdarzonego bogactwami ziemskimi, majątek uważał jako środek ułatwiający mu obowiązki, do jakich się poczuwał względem swoich współbraci.

W dobrach jego tak jak niegdyś na dworach panów polskich, przemieszkiwała dla nauki młodzież, a każdy z uboższych bezpłatnie był przyjmowanym. Nie było gałęzi w gospodarstwie, nad którejby ulepszeniem nie rozmyślał, počawszy od rolnictwa przez przemysł jaki agronomia w swój zakres włączyła, do szczegółowej domowej administracji, — od budownictwa do rachunkowości.

Przy każdym wydziale urządził szkołę. Przechodziła je młodzież kolejno wszystkie, lub tylko jedną z nich, stosownie co który w przyszłości obierał: czy administrowanie włości, lub jeden wydział specjalny w gospodarstwie.

Przygotowywali się w jego dobrach do rolnego gospodarstwa, leśnictwa, gorzelnictwa, ogrodnictwa, mechaniki, budownictwa wiejskiego, zgoła co agronomia obejmuje, a każdemu wydziałowi przewodniczyli nauczyciele oświeceni i zdadni.

Pułkownik tak jak niegdyś panowie nasi, z ojcowską troskliwością czuwał nad młodzieżą uczącą się pod jego boki, nie tylko aby przestrzegali ściśle moralności, ale starał się w nich wpoić gorliwość obowiązków, które wypełniać mieli jako obywatele kraju i synowie ziemi, na której się urodzili. Obok tego miłując sam naukę, i lubiąc się otaczać dziełami sztuki, w chwilach wolnych od powszednich zatrudnień przypuszczał do nich swoich młodych domowników, a w święta przyjmował ich pułkownikowa u siebie z uprzejmością jak gości.

Nie sami obierający zawód agronomiczny znajdowali pomoc u pana Czarnkowskiego. Uważał on za potrzebę przygotować co najwięcej ludzi zdolnych i w innych gałęziach

przemysłu. A umiejętności, to słońce ducha ogrzewające społeczeństwo ludzkie i rozświetlające każdą pracę matery, jakże nie miały znaleźć w nim opiekuna?

Majątek pułkownika był wybornie administrowany i rozległy, miewał więc i wsie do wydzierzawiania i kapitały na wypożyczenie. Czulby się był winnym względem rodzinnego kraju i poniżonym w własnej godności, gdyby się miał był ubiegać na wyścigi z żydami i agentami po bankach i giełdach cudzoziemskich, szarpiąc się z nimi i targując o większą zdobycz. Uważał on majątek jako część ruchomą kraju, i użycie go gdzieindziej poczytywał za roztrwanie jego dobra.

Pocziwość, oszczędność i pracę cenił pułkownik jako najpewniejszą hypotekę, wypożyczał więc kapitały i wydzierzawiał wsie ludziom posiadającym te przymioty choć i żadnego majątku nie mieli, nie pragnąc wyzyskiwać ich pracy dla siebie, kontentował się umiarkowaną sumą — a patrząc na wzrastający tak majątek, którego źródłem była uczciwa praca,

czuł zadowolenie że dopełnił obowiązku względem swoich ziomków, pomnażając liczbę pożytecznych obywateli i rodzin zasobniejszych w środki materyalne.

Z tych główniejszych zarysów charakteru pułkownika Czarnkowskiego pokazuje się, że na podobieństwo przodków swoich, majątek uważał jako środek do służenia ojczyźstęj ziemi, do powiększenia liczby majątniejszych i zdolniejszych obywateli, a tym sposobem zamierzył choć w drobnej części, ratować od upadku pomyślność kraju i przyszłe pokolenia.

6.

Kilka lat już upłynęło jak się bracia Zarebscy nie widzieli. Kaźmierz odwiedzał wiele razy Jana i mimo nietajonej niechęci bratowej i dostrzeganej coraz wyraźniej obojętności brata, bawił zawsze dni kilka. Lecz kiedy Jan ani do niego zajrzał ani doniósł przyjechawszy na krótki czas do domu, zaczął go drugi podejrzewać, że w swój wzrastającej pysze i czci dla majątku nierad może z jego odwiedzin. Czasami znowu wpadał na domysł, że najpewniej ulega wpływowi żony i przypuszczał, że może natchnęła męża niechęcią, jaką chowa dla niego w duszy.

I jedno i drugie przypuszczenie drażniło Kaźmierza i zmniejszało zaufanie do brata; dość że coraz więcej obcieli dla siebie, coraz mniej mieli sobie do powierzania. Zaczęli się

téż różnić coraz bardziej w każdym pojęciu, w każdym zdaniu, aż w końcu swoje spotkanie zatruli przykreimi spory.

W takim usposobieniu stygło zwolna ich przywiązanie. Kaźmierz nie wyznał tego długo sam przed sobą, i usiłował okazywaném uczuciem zastąpić rzeczywiste; myślał że przywiązanie obowiązkowe rozkrzesze iskry miłości na nowo, i choć już nie z potrzeby serca pojechał jednak do brata raz i drugi. Lecz za każdym widzeniem jakieś przykre spory powstawały między nimi — bo stargany węzeł przywiązania zostawia uczucie w duszy podobniuteńkie do wyrzutu sumienia, a winny spieszy się z usprawiedliwieniem przed tym sędzią przemierzającym w piersi naszój, roztrząsa słowo po słowie przeciwnika, przypomina sobie każde jego spojrzenie, każdy wyraz twarzy, zapomina o własnych, i rozbudza coraz większe rozżalenie w duszy ku niemu. A ten spór wewnętrzny objawia się w każdej niemal myśli, i wywołuje wzajemne rozdrażnienie, zaprawiając ostatecznie okrucy słodkiego stosunku goryczą.

Każmierz tak przykre chwile przepędzał w końcu w domu brata, tak mu wszystko co słyshał i widział było przeciwne, od wychowania dzieci do każdego szczegółu domowego, że wypowiedziawszy co mu na sercu leżało, wywołał tém cierpkie odpowiedzi Jana, z których widział: że mu serce z pychy zatyło i mało już w niém zostało miejsca na inne uczucia, a głowę tak rozmarzył swoją znakomitością, że ją z dumą podnosił względem tych wszystkich, których summa majątkowa i pozycja towarzyska, jak sądził, nie wyrównała jego własnej.

Nie poprawię go, a obu udęcę — pomyślał Kaźmierz, i od tego czasu nie pojechał do brata, i nie widzieli się więcej.

Tymczasem umarł ich szwagier pan Radzewski, Kaźmierz przejrzawszy stan pozostałego majątku, widział że kilka tysięcy talarów gotowizny potrzebne koniecznie dla uchronienia wsi od nagłej sprzedaży, inaczćj siostra z dziećmi pozostałaby bez żadnego utrzymania.

Napisał do Jana który właśnie był u wód,

przedstawiając mu stan interesów siostry, nie odebrał jednak żadnej odpowiedzi; napisał powtórnie, lecz i tą razą zbył go brat milczeniem. Skoro się więc tylko dowiedział o jego powrocie, pojechał do Kocka.

Hrabia powitał brata z grzecznością światowca, sztywnie jak każdego gościa, którego odwiedziny nie głaskały jego próżności.

Każmierz po takim powitaniu powiedział mu zaraz co go sprowadziło w dom jego, a Jan odpowiedział bez ogródki, na co dawniej nie byłby się zdobył patrząc w oczy bratu: „Wprawdzie nie o wielką rzecz chodzi kiedy tylko o kilka tysięcy talarów, ztémwszystkiém nie mogę ich pożyczyć, choć na mój majątek drobna to summa; domu utrzymanie dużo mię kosztuje, a oszczędności zaprowadzać nie możemy, stanowisko jakie zajmujemy w świecie wymaga tego — dodał z dumą. — W tym roku karnawał przepędzimy najpewniej w Paryżu, bo i edukacya naszej córki potrzebuje tego, i obu chłopców mamy tam teraz. Zresztą nie bywaliśmy jeszcze w świecie paryzkim,

a dobrze że porobimy znajomości, i nie będziemy zupełnie obcymi prezentując tam później naszą córkę.....“

„Przepraszam cię, że uczynię to zapytanie — przerwał drugi. — Dla czegoż w paryzkie towarzystwo potrzebujecie koniecznie wprowadzać waszą córkę?“

„Nasza pozycja tego wymaga — powtórzył hrabia z przyciskiem. — A zresztą dla naszej córki łatwiej tam będzie o stosowną partyę. Moja żona nie lubi téż tutajszych towarzystw, i jeżeli w nich bywa to sobie prawdziwy gwałt zadaje. Choćby mi więc z trudnością przyszło dogodzić jej chęci, to przyznajem jej to winien -- bo mówiąc między nami, czémże byłbym gdyby za mnie nie była poszła?“

Każmierz za całą odpowiedź mimowolnie westchnął, i zaproponował bratu żeby przeszli do salonu, gdyż chce powitać jego żonę.

Hrabina podług wszelkich form grzeczności przyjęła szwagra, spytała o żonę i dzieci, a potem wskazała na czternastoletnią ładną pannienkę.

„To Delfinka, nie poznałeś jój pan?”

Dziewczynka ukłoniła się z gracyą stryjowi, i on jój wzajemny ukłon oddał.

Zastał tu dwie panie, starszą i młodszą, również i pana Leona Świtalskiego już dobrze podstarzałego, choć wierzch głowy przykrywała paryzka peruka, a w ustach bielily się zęby berlińskiej fabryki. Siedział on obok młodszej z dwóch obcych dam, i prawil jój po francuzku mnóstwo komplementów, raz po raz słodko na Delfinkę spoglądając zaczepiwszy ją jakimś słówkiem.

„Radbym wiedział, jakie marzenia krążą po téj ślicznej główce?” pytał z przymilającym spojrzeniem panienki.

„To moja tajemnica” — odrzekła Delfinka z kokieternym uśmiechem.

„A co się w tém serduszku dzieje? dla kogo ono najpierwéj uderzy a może już uderzyło?” mówił z tym samym wyrazem.

Panienka ani tém rozśmieszona ani zmieszana odrzekła na pół z prawdą: „Może!”

Potém pan Leon przysiadł się do niéj i

szeptał coś na ucho, a Delfina z uśmiechem półsłówkami mu odszeptywała.

Każmierz mimowolnie spojrział na bratową, która go właśnie o edukacją jego dzieci wypytywała, lecz widział że to obejście podstarzałego zalotnika z czternastoletnią córką wcale jój nie razilo.

„Więc państwo nie macie nikogo przy córce — mówiła hrabina — i któż ją uczy?“

„Moja żona i ja jój dopomagam.“

„Ile ma lat?“

„W dziewiątym roku.“

„Wierz mi pan, że czas koniecznie wziąć do niój Francuzkę, bo nie nabędzie dobrej prononcyacyi.“

„Ja sądzę, że gruntowne poznanie języka choć i trochę później, daje i czucie jego dźwięków.“

„Nie wierz temu — wniósł się Jan — nasze dzieci jak wiesz, z dzieciństwa mówiły trzema-językami. Delfinka mówi aż czterema i każdym dokładnie“ kończył z dumą.

„To są guwernantki, Angielka i Francuz-

ka,“ dodała hrabina wskazując wzrokiem na siedzące damy.

„Muzykusa mamy Niemca, więc Delfinka mówi ciągle trzema obcemi językami“ dorzucił hrabia.

„Śmiało ją możecie wydać za ambasadora, nieby jój nie szkodziło, choćby ją przenoszono z kraju do kraju,“ mówił Kazmierz tonem żartu.

„Ja nie widzę w tém nic śmiesznego, żeby majątni rodzice dawali świetną edekacyą swoim dzieciom“ — odparł hrabia wyraźnie dotknięty żartem brata.

„Dla czegoż nie mają kobiety umieć obcych języków? Dla czegoż mają być wydziedziczone od poznania obcych literatur?“ łagodził Kazmierz drażliwość brata.

„A gdzież żona pana zamieszka z córką później dla edukacyi?“ pytała hrabina znowu.

„Oddamy ją na pensyę.“

„I żona pana zgadza się na to?“

„Zupełnie. Chcemy naszej córce dać gruntowniejsze ukształcenie, a gdzie to może być

lepiej jeżeli nie tam, gdzie wykładają nauki wyższej zdadności ludzie.“

„Ah jabym mojej córki za nic w świecie na pensję nie oddała.“

„A to dla czego?“

„Gdzie tyle panienek z rozmaitych domów?“

„Dzieci się między sobą nie psują, ten tylko niebezpiecznym co już złego zakosztował. Ztąd towarzystwo dojrzałych niezupełnie moralnych ludzi jest dla skromności młodych osób prawdziwą trucizną“ — i w przelocie padło Kaźmierza spojrzenie na Delfinkę i obok niej siedzącego pana Świtalskiego.

„Ja także jestem tego zdania, że rodzice nie powinni córki powierzać obcej opiece. A oddać jeszcze na pensję w kraju, to ślicznie będzie wychowana“ zdecydował hrabia.

„Ej mój Janie, to przesąd stary z owych czasów, kiedy być w Paryżu znaczyło nieledwie tyle co być na księżycu, i cuda było można o zagranicy opowiadać. Teraz kiedy znamy najskrytszy zakątek każdego narodu, wiemy że nasze kobiety ani mniej rozumne,

ani mniej moralne niż w innych krajach, owszem przewyższają je wartością pod każdym względem. — Pocóż je więc po edukacją za granicę wysyłać? “ twierdził Kaźmierz.

„Ja wiem, że moich dzieci nigdybym w kraju nie wychowywał. Każdą kobietę co odbierała edukacją za granicą zaraz poznać, ma ona zupełnie inne maniery. A młodzi ludzie czego się w tych naszych szkołach nauczą. Wyrastają na zapalone głowy i nic więcej“ — mówił hrabia.

„Dobrze, niech mają zapal! Widzimy go już wielki brak w młodszym pokoleniu“ odrzekł Kaźmierz.

„My ludzie stanowiska i majątku nienawidzimy zapaleńców, bo łatwo temu deklamować co nie ma nic do stracenia“ odparł hrabia.

„Proszę cię, wyłóż co rozumiesz pod wyrazem zapalenie?“ pytał Kaźmierz z lekkim zniecierpliwieniem w głosie.

„Jest to człowiek co nie ma nic do stracenia i radby wodę zamącić, żeby w nią dla siebie wędkę zapuścić“ odpowiedział Jan ścisnąwszy brwi.

„Więc to niby prosty opryszek, który zamiast łupić po drogach, radby stworzył okoliczność do rabunku. Na taką definicyą jednego z szlachetniejszych przymiotów natury ludzkiej przystać nie mogę“ odrzekł Kaźmierz.

„Mniejsza o wykład. Ja wiem że zapaleńców nienawidzę“ dodał podniesionym głosem hrabia.

„Kiedy prawdy odwieczne to nie ostrzygi, żeby je można lubić albo nienawidzić — odparł Kaźmierz z przyciskiem. — A zapał to promień niebieski, który gdy przejmie ducha ludzkiego, każdą ofiarę zamienia w powinność, poświęcenie w obowiązek, rozgrzewa serce i umysł, i człowiek z zapałem czuje i myśli, tworzy i pracuje. Przyznam się że ludzie bez zapału to trupy łązące po ziemi dla mnie. Zimny dreszcz mię przejmuje, kiedy patrzę na młodzieńców z wyblakłemi oczyma, z wybladłą twarzą, odbywających każdą czynność życia zimno, uważnie, obojętnie, jakby się już niem strudzili. Zdaje się, że gdyby nad ich głowami świat runął, oniby bodaj z ciekawością ku górze spojrzeli.....“

„Prześlicznie pan dobrodziej dowodzisz, prześlicznie!“ — „tylko troszkę za idealnie,“ przerwał pan Leon, który się rozmowie dość uważnie przysłuchiwał.

Każmierzowi zamarło resztę słów na ustach, uniesiony sporem rażącym jego przekonanie, za daleko się zapuścił, a odezwanie się Świtalskiego przypomniało mu dopiero otoczenie, przed którym perły rozsypywał napróžno.

Hrabina pochwyliła twierdzenie pana Leona. Zwróciwszy się do szwagra: „Widzę że pan zawsze ten sam, zawsze idealista, zapominający o praktyce, lubiący wyklądać rzeczy nie jak są ale podług własnego upodobania. A czas zamiast pana wyleczyć z tych słabości, zdaje się nawet że je rozwinął“ mówiła z półuśmiechem.

„Pokazuje się, że są usposobienia, w których wiek udoskonala wszystko nawet i wady“ odpowiedział z wyrazem żartu Kaźmierz.

„Czy pan znasz swoje wady, ja sądziłam że tylko drugich“ — i odchyliła ironicznym uśmiechem jedną stronę ust, na których czas wycisnął coś nader niemiłego.

„Zwróciłaś mi pani dziś uwagę na kilka moich wad, a trudno być samemu sędzią w własnej sprawie“ odpowiedział tym samym co i pierwój tonem.

„Ja zaś myślę przeciwnie, że każdy może być najwłaściwszym sędzią swego postępowania, dla tego się też nigdy nie kłopotę o sąd drugich“ odpowiedziała pani podnosząc czoło.

„I bardzo rozsądnie robisz, bo w krytykach ludzkich najczęściej na spodzie leży zazdrość“ przywodził mąż.

„Może też być czasem i szlachetne oburzenie, które się mimowolnie przez usta człowieka przedziera“ dodał Kazmierz.

„Panie dobrodzieju, czy to podobna nam ulomnym ludziom nigdy nie grzeszyć! Są grzechy, które Ewanielia nawet do zasług zalicza, jak naprzykład Maryi Magdaleny“ mówił pan Leon ukazując wśród uśmiechu zwróconego do hrabiny berlińskie zęby.

Pani zawtorowała mu przymuszonym uśmiechem, a on dodał: „Być cnotliwym par excellence to rokoko, które zostawmy Kamedułom

i Kartuzom. N'est-ce pas Madame.“ I powtórnie zaświecił wprawionemi zębami.

W pośród tak drobnych a ciągłych prawie sporów, Kaźmierz mimo zapraszania dłużej jak jeden dzień w domu braterstwa wysiedzieć nie mógł. I Jan lżej odetchnął po jego wyjeździe, każde najmniej znaczące słowo wymówione przez niego zdawało mu się jakimś napomnieniem, i znieść nie mógł tych przesądnych zdań, wynoszonych z drobnego widnokregu, w jakim życie brata się obracało.

Do aktu oskarżenia który w duszach wzajemnie bracia przechowywali, za tém spotkaniem wciągnęli nowe zażalenia jeden na drugiego.

Nie posądzajmy ich jednak o błahość powodów, dla jakich rozrywali tak święty stosunek, i ubożyli serce o jedno z droższych uczuć na ziemi. Nie była to śmieszna pycha ze strony Jana, ani drobna drażliwość ze strony Kaźmierza, co ten związek targały. Któż ukochanych swoich nie przyjmuje z całą sumą przymiotów i błędów? Chyba człowiek co

nie uczuł rozkoszy kochania? Lecz bracia Zarębscy uwierzyli w dwie tak różne strony prawdy, że idąc coraz dalej w życie pociągani ich siłą, stanęli jakby na dwóch przeciwnych biegunach, a pomiędzy nimi leżał cały świat uczuć i pojęć w niczem do siebie niepodobnych.

Jeżeli Kaźmierz ofiarę z samego siebie dla szczęścia spółbraci zaliczał do prostych obowiązków, to Jan uśmiechał się na objaw takiego uczucia jak na szaleństwo, — a kiedy młodszy w żadnym warunku życia własnego interesu nie kładłby na pierwszym planie, to drugi co tylko mógł ściągałby w promień swjej osobistości. Dla hrabiego najnaturalniejszym uczuciem była miłość samego siebie, rozciągająca się do żony i dzieci jako dalszego ognia własnej indywidualności, lecz szerszy promień obejmujący różne odcienia uczuć dla ludzkości, zdawał mu się mrzonką, o jakiej tak sobie lubią rozprawiać ludząc jedni drugich, lecz nikt na serio z rozważniejszych ludzi o ich urzeczywistnieniu nie myśli, chyba ci co nie nie mają do stracenia a wszystko do zyskania.

Daléj Kaźmierz życie próżniacze i zbyt-  
kowne zaliczał do grzechów względem społeczeń-  
stwa i samego siebie; w przekonaniu zaś Jana  
podnosiło to wartość człowieka, a pracę choć-  
by najwznioślejszą, skoro nie była kaprysem  
pańskim lecz utrzymaniem życia, uważał za  
ujmę osobistój godności.

Młodszy w ocenianiu ludzi pomijając wszy-  
stkie inne strony osobistości, głównie szukał  
wartości moralnej, starszy zaś jedynie tła ma-  
teryalnego tak rodu jak majątku, mniej się  
kłopotac o resztę. Kaźmierzowi wszystko co  
rodzime, co swoje, było najdroższém, najmil-  
szém, — Jan choć już czasem i chciał to nie  
umiał we własném zasmakować, bo mu już  
najlepiéj wśród obczyzny było.

Długoby przyszło wyliczać po szczególe  
wszystkie rozstępy pomiędzy braćmi, bo nie  
było prawie punktu gdzieby się ich serca, ich  
myśli schodziły — wszędzie przepaść nieraz  
niezglębiona rozdzielająca ich dusze. Napró-  
żno téż sięgał Kaźmierz dość długo przez nią  
po braterską rękę, chciał go przywiązaniem,

prośbą, a choćby i gwałtem przeciągnąć do siebie, i serce jego rozgrzać prawdami które sam miłował; ale kiedy Jan odpowiedział szyderstwem na najświętsze uczucie w jego duszy, zdawało mu się że przestali być braćmi i są sobie zupełnie obcymi ludźmi — krew którą poczuwał w żyłach swoich i wspomnienie ogniska rodzicielskiego widać nie starczyły na zapelnienie przepaści, jaka ich rozdzielała.

W znanych nam domach z téj powieści toczyło się życie taką koleją, jaką sobie każdy nakreślił, a im się toczyło dłużej tém plastyczniej uwydatniały się postacie dzieci coraz więcej dojrzewających, bo nabierały wyraźniejszych cech osobistości, aż z zupełném rozwinięciem ukazały się jakby żywém słowem myśli rodzicielskiej.

Wprawdzie na szerszej drodze życia znika to tchnienie rodzicielskie nieraz nie do poznania, ale my ich czytelnikowi zamierzylśmy ukazać z niezatartym jeszcze śladem myśli, według których usiłowano odlać ich indywidualności.

Choć rodzina Radzewskich jest tylko jakoby cieniem do lepszego uwydatnienia na-

szych obrazków, nie pomijamy jój tu jednak skorośmy ją raz wplekli w nasze opowiadanie.

Pani Radzewska dość wczesnie, bo na kilka lat jeszcze przed śmiercią męża, z wielkiem swoim zadowoleniem ściągnęła Cécile dawną bonę od pp. Janostwa do siebie, która inaczéj miejsca przyjąć nie chciała jak z tytułem gubernantki, i mówiono jój po nazwisku panna Perot.

Pisać prawie nie umiała panna Perot, ale czytała gładko przetrzepawszy masę powiastek bywając po polskich domach boną. Powierzono jój edukacją dwóch córeczek i starszego od nich syna Kajusia, którego ojciec wybierał się każdego roku oddać do szkół, lecz zawsze do drugiego odłożył, matka zaś marzyła ciągle o odwiezieniu go do Belgii lub Francyi, a tymczasem chłopiec biegał sobie samopas lub z dobranymi towarzyszami, wdrapwał się na drzewa, wykręcał wróble, objeżdżał fornalskie konie, brodził po stawach i błotach za jakimiś zdobyczami, dość że mu czas swobodnie uchodził i nie tęsknił za szko-

łami. Ktoś z krewnych czy sąsiadów wymógł na rodzicach, że nauczyciel wiejski przychodził dwa razy w tydzień, a tak Kajus uczył się przynajmniej pisać, czytać i rachować.

Za przybyciem panny Perot do domu chłopiec nielatwo dał się ująć w karność, a po odkryciu że nauczycielka pisać nie umie, powtarzał głośno: że u takiej oślicy uczyć się nie będzie. Szczęściem guwernantka obelgi nie rozumiała, zawsze się więc garnęła do jego nauki, przemawiała do niego, i tak powoli zaczął się z francuzkim językiem oswajać.

Dziewczątka zaś, jedna dziesięć a druga jedenaście lat mająca, uczyła guwernantka na dobre, według programu matki.

Jeszcze z pensjonarskich czasów pani Radzewskiej, przechowały się gdzieś na szafie przykryte wieloletnim pyłem, trzy książki francuzkie — mitologia z bóstwami w jasnych kolorach, historia naturalna z rycinami kilkudziesięciu czworonożnych zwierząt, ptaków i kwiatów, i jeografia z atlasikiem. Codziennie w pewnych godzinach otwierano te książki,

guwernantka i uczennice przypatrywały się razem obrazkom, a jeżeli je który więcej rozciekawiał, to przeczytały i objaśnienie. Z jeografią szło trudniej, panna Perot nic nie mogła wynaleźć na kartach atlasu, dzieci dopytywały się nieraz o jakie miasto, a że najczęściej nie miarkowała w którym kraju leżeć może, śledziła więc zwykle całemi godzinami po różnych stronicach napróżno. Zadecydowała téż, że to za trudna nauka na tak młode dzieci; wrzuciono jeografią na szafę nie zdejmując jój więcej.

Tę edukacyą córek uważała pani Radzewska za tymczasową, najdalej za półroku miała z dziećmi osiąść w Berlinie lub Dreźnie, a czasami wybierała się nawet i do Paryża; nie chodziło jój wcale o wiadomości, byle się dzieci mówić po francuzku nauczyły.

Blisko jednak dwa lata prowadziła panna Perot tę edukacyą, i byłoby to dłużej potrwało, gdyby pani Radzewska nie dowiedziała się o Niemce umiejacój i po francuzku i po angielsku i grać, a która nie żądała więcej pensyi jak Francuzka brała. Ktoś z sąsiadów

pożyczył starego fortepianu, i tymczasem rozpoczęły się lekcye muzyki i aż trzech obcych języków nim wyjadą za granicę. Krótko jednak Niemka pobyla, bo się nadarzyła rodowita Angielka, później Włoszka, a matka kontenta była, że będą miały początki każdego języka nim wyjadą za granicę.

Tymczasem Kajus, choć lat przybywało, bujał sobie po staremu. Mimo nalegań a nie raz i przymusu ze strony matki na żaden sposób lekcyj od guwernantek brać nie chciał, i jeżeli nie drzwiami to oknem uciekał, kiedy usiłowano przelamać jego upor. U ojca znalazł zawsze poparcie, miał iść wkrótce do szkół, pocóż inną naukę miał rozpoczynać.

„A zresztą — mówił pan Radzewski na uboczu znajomym kiedy żona skarżyła na niego że psuje Kajusia — zupełnie chłopiec ma moją naturę, i ja téż od książek uciekałem a lubilem flintkę i konie jak on. Bo Kajus od roku dopiero chodzi na polowanie a już wcale niezle strzela, i w róg umie zadać jak najstarszy myśliwy. A na koniach zna się

lepiej niż ja, zaraz feler upatrzy“ — dodawał z ukontentowaniem.

Dopiero ze śmiercią ojca skończyła się swoboda Kajusia. — Kaźmierz Zarębski wuj i opiekun oddał go zaraz do szkół. Był to już wyrostek mający lat piętnaście, musiał jednak zacząć od niższych klas. A i tu nauka szła mu z trudnością, bo umysł rozleniwiony nie umiał ani skupić uwagi ani nateżyć pojęcia.

Kaźmierz wiele miał kłopotu nim zdołał namówić siostrę do oddania syna do miejscowych szkół, a nie do Belgii, a choćby już i do Drezna, również i do wydzierzawienia Zdun, a co trudniejsza, do przeniesienia się na folwark.

Nie miał on sam pieniędzy, bo krótko przed śmiercią szwagra kupił w sąsiedztwie wieś. Chcąc siostry majątek uratować, zaciągnął pożyczkę na swoje imie od pułkownika Czarnkowskiego. Potrzeba było procenta opłacać, i Zduny musiały być oddane w dzierzawę. Pani Radzewska przystawała na to jedynie

pod warunkiem, żeby osiadł dla edukacji dzieci za granicą.

Niepodobnym to jednak było. Dochody, które dla niej pozostawały na kilka pierwszych lat, tak były szczupłe, że wypadało koniecznie siedzieć na folwarku.

Brat kazał jej wyporządzić dworek o czterech pokoikach i potrzebną częścią gospodarczą, ztémwszystkiem pani Radzewska nie mogła się zdecydować przenieść ze dworu do tej chatki, ze wsi na folwark.

„Przecież mój majątek nie jest w takim złym stanie — powtarzała — a każdy będzie myślał, że ja się z biedy przeniosłam na folwark. Jak mi córki dorosną, już mię nikt nie przekona żeby tu mieszkała, bo ciekawa jestem ktoby tu zajechał. Śliczneby partye porobiły z folwarku.“

Pani Kaźmierzowa widząc zakłopotanie męża, zaprosiła panią Radzewską do siebie, a kiedy ta się już na dobre u niej rozgościła, ona sama nic jej nie powiedziawszy pojechała do Zdun, wysławszy naprzód umówionych rzemieślników.

W kilka dni ściany pokoików w dworku na folwarku miały gustowne obicia, u okien wisały nowe białe franki, meble odświeżone pociągnięte świeżym perseni, podłoga zawoskowana, wszystko czyste aż oko przyciągało.

Napisała wtenczas Zosia do męża, żeby z siostrą przyjechał.

Kiedy zajechali, stojąc na progu witała przybyłych z uśmiechem na twarzy, ciesząc się naprzód, że pani Radzewska obejrzawszy się po dworku, przestanie żałować dworu.

Dziewczynki z ciekawości wyprzedziwszy wszystkich i przebiegłszy pokoiki, nie posiadały się z radości, że tak świeżo i ładnie mieszkać będą. Klaszcząc w ręce podbiegły do wchodzącej matki.

„Ah mamó! Jak nam ślicznie wujenka urządziła, nie ma czego żałować brudnego dworu.“

I pani Radzewskiej twarz się choć troszkę rozpogodziła.

„Dziękuję ci moja Zosiu, żeś mi chciała gorycz mego losu osłodzić i przypstrzyłaś domek jak mogłaś. Rok tu przecież wytrzy-

mam, a na przyszły Śty Jan wyprowadzę się z dziećmi do Drezna.“

I myśl że tymczasowo tylko dworek na folwarku zamieszkuje, uspokoiła ją do reszty.

Po trzech latach powiększyły się dochody pani Radzewskiej, i na początek nie za granicą lecz w Poznaniu zamieszkała.

Kajuś na żaden sposób nie chciał już do szkół chodzić, matka łatwo uwierzyła że w krajowych szkołach nie się nauczyć nie można, i mimo oporu wuja przeszedł na prywatną edukacją. Miał to niby brać lekye z siostrami, lecz że one brały tylko języka angielskiego, muzyki i rysunków, więc się wcale nie uczył. Chodził za to pilnie na godziny tańca, okazując do tego wiele zręczności.

Nie dłużej jednak jak kilka miesięcy przemieszkała w Poznaniu pani Radzewska, wydała w ciągu tego czasu dochód caloroczny, i musiała do dworku na folwark uciekać.

Córki same się miały ćwiczyć w talentach i naukach nim zagranicę wyjadą, a Kajusia lada dzień miała matka gdzie dla dalszej na-

uki umieścić, lecz jeden projekt zbijał drugi, i tak miesiące upływały.

Syn więc zapełniał czas czém mógł, zaglądał do poblizszych miasteczek, używał przyjemności jakie mu miejscowość nastęrczyć mogła, dość że się to wszystko skończyło na dochody matki wcale znacznemi długami.

Wierzyciele Kajusia zaczęli na dobre niepokoić panią Radzewską. Rozgniewana oskarżyła chłopca przed bratem.

Ten długi popłacił, zapytał siostrzeńca jaki zawód na przyszłość obiera, a po zdecydowaniu się że chce być agronomem, zabrał go zaraz i odwiózł do dóbr pułkownika pod surowy dozor.

Duszno tu niesłychanie Kajusiowi było, i gdyby się nie był bał wuja, uciekłby zaraz pierwszego dnia. Nie przestał jednak rozmyślać, jakby to co najprędzej do dawnego życia wrócić.

Znał słabe strony matki i umyślił z nich korzystać, co mu się już nieraz udało. Zaczął jój opisywać towarzystwo w jakim żyć

zmuszony, składające się z chłopów i ekonomów, blagając ją żeby go ztąd wydobyła, bo sam widzi że nabierze najgorszych manier.

Pani Radzewska zaniepokojona pisała do brata list za listem z przedstawieniem że syn jój zordynaryjnieje, a ona pragnie żeby był salonowym. Przecież przystojny, nie źle przyjął edukacją, to może partya zrobić. Ten przekładał siostrze, że Kajus w próżniactwie do reszty się zepsuje, że ubogi powinien więc umieć pracować, zapewniał że co lepszego na był wychowaniem pewno nie zatraci.

Siostra choć brata Kazmierza szczerze kochała, umiała ocenić dobroć jego dla siebie, i szlachetność charakteru, a dla Jana gdyby była szczerze wyznała, to pod lodem jego pychy wytląła w jój duszy iskierka po iskierce przywiązania, i oprócz ściślejszego stosunku jaki wypływa z bliskiego związku krwi, nie ją prawie z nim nie łączyło, to jednak uważała go za coś wyższego niż młodszego brata, nie mogąc się oprzeć urokowi pańskości, jakim był otoczony w jego przekonaniu. Interesów

powszednich, widząc jego ku sobie obojętność, nie śmiała mu powierzać, lecz co do edukacji dzieci nieraz rady jego zasięgała, tém więcej że wychowanie jego własnych było dla niej najdoskonalszym wzorem. I tą razą zaniepokojona niewłaściwem umieszczeniem syna, i nie ufając dosyć Kaźmierzowi, udała się o rozwiązanie téj wątpliwości do Jana.

Ten zadecydował: że uczyć się gospodarstwa rzecz zupełnie niepotrzebna, niech tylko kto ma własne to już pewno potrafi gospodarować. A rzeczywiście w takiem otoczeniu chłopiec zordynaryjnieje, nabierze manier ekonoma.

Pani Radzewska tą razą już nie odkładając, co spieszniej kazała wracać Kajusiowi do domu, nie pytając się wcale o pozwolenie Kaźmierza.

Kajuś wypuszczony na wolność, pędząc dni bez żadnego zatrudnienia, kiedy potężniejsze siły młodzieńcze potrzebowały strawy — w braku szlachetniejszej i pożyteczniejszej nic mu nie pozostało jak zapełniać czas po dawnemu; —

długi tylko tą razą zaciągał z pewną ostrożnością, zastrzegając ich wypłatę z dojściem pełnoletności.

Nareszcie pani Radzewska osiągnęła pragnienie wieloletnich swoich życzeń, bo pojechała na mieszkanie do Drezna, nibyto w celu ukończenia edukacyi dzieci, choć jedna z córek miała lat ośmnaście, a druga o rok była starszą — syn zaś miał twarz ozdobioną pięknym wąsem.

W krótkim czasie Kajuś znalazł dla siebie towarzyszy, a ci go zbliżyli do zabaw, jakich jeszcze nie zakosztował.

Nietylko że przebywał ciągle z nimi w Dreźnie, ale jeszcze pod pozorem wojażu odbywał razem wycieczki w różne strony Niemiec, a za powrotem miał matce wiele do opowiadania, bo bywał i na wyścigach konnych, i na polowaniach par force, na balach i zebraniach familijnych, gdzie miał sposobność porobić znajomości z lordami angielskimi, parami francuzkimi, reichsgrafami i książętami niemieckimi. O ile w tém prawdy było, to on sam

najlepiej wiedział, dość że to cieszyło matkę; bywanie w tak świetnych towarzystwach uważała za dalszy ciąg dobrej edukacji i pieniędzy nie żalowała.

Córki brały lekcye i na fortepianie, i śpiewu, i malowania, czy miały przyrodzony talent lub nie, to mniejsza o to, przecież chodziło tylko o dekoracyą edukacji — i niezamożnej matce nie było żal ani straconego czasu ani pieniędzy.

I tą razą tak samo jak kiedy mieszkała w Poznaniu, przegalopowała się w wydatkach — co miało starczyć na dwa lata, wydała w ciągu ośmiu miesięcy. Lecz uszczęśliwiona tą myślą wracała do domu, że dzieci tak świetnie ukończyły edukacyą.

---

## 8.

Adolf Zarębski, starszy syn hrabiostwa, nie lubił własnego kraju, w którym żyć było jego przeznaczeniem. Wszystko mu tu było obce, nie rozumiał życia wokoło, tłumacząc je sobie jak najprzewrotniej. Prawdy najwyraźniejszej często nie pojmował, cnot zrośniętych z narodem nie rozumiał, a grzechy z jakimi się spotykał w obcych krajach nazywał cywilizacją. Nie miał zresztą w charakterze nic wydatnego coby mogło posłużyć za typ choćby jednostronny, owszem cechy jego nader powszechnie jakich każdy zakątek naszej ziemi liczy tuzinami.

Możnaby przypuścić, że jest pewna recepta przepisywana z domu do domu, według której wychowują znaczną liczbę młodzieży polskiej, gdyż po wypuszczeniu jój na świat ma jedne

i te same cechy bez najmniejszej odmiany. Zawsze i wszystkiem znudzeni a jednak ciągle ubiegający się za zabawami; marnujący majątek a pałający żądzą posiadania co największego; mający bardzo mało nauki choć często wszystkie stolice Europy składały się na nią; mówiący kilku językami, a każdym błędnie. Przytém skłonności najprozaiczniejszych, dobroci bezsilnej, zamiast woli uparci bez wytrwałości, ironiczni bez dowcipu, nie lubią żadnej pracy choć brak zatrudnienia unieszczęśliwia ich wyraźnie. Twarzy przeciągłej i błędnej, fizionomii nic nie mówiącej, oczu bez blasku lekko przymrużonych — szczupli, posuwiści, ubrani podług najświeższej mody.

Adolf Zarebski udał się podług tej recepty jak najdokładniej.

Delfina młodsza od niego nie była za to tuzinkową — powabu towarzyskiego miała wiele, tłumaczyła się z wdziękiem i płynnie, śpiewała pięknie, i była bardzo ładną. Regularność i wydatność rysów miała ojca, czarne oko i włos matki, postać wyrosłą, formy peł-

ne lecz kształtne, a choć młoda bo dwadzieścia trzy lat mająca, w noszeniu głowy jakaś duma czy pewność siebie, którą zwykle późniejszy wiek dopiero nadaje.

Taką ujrzał Delfinę Karol Czarnkowski, starszy syn pułkownika, przyjechawszy do Ostendy.

Nie znał Karol nikogo z rodziny hrabstwa Zarębskich, lecz uważał za obowiązek poznać się z tak bliskimi krewnymi pana Kazimierza, i przy sposobności zbliżył się do hrabiego.

Nie Karol nie wiedział o zimnym stosunku braci Zarębskich. Kazimierz nie wspominał nigdy o tak przykrym dla niego przedmiocie, kilka razy tylko kiedy pułkownik widząc go zmartwionym, badał ze szczerem współczuciem o przyczynę, podzielił się z nim swoim smutkiem, lecz ten do nikogo o tém nie wspomniał.

Karol tak nawykł poważać dom pp. Kazimierzostwa, że z tém samym uczuciem przystąpił i do ich braterstwa.

Był to wcale miłej zewnętrznosci młodzień-  
niec, choć postaci niezbyt wyrosłej i rysów  
trochę pociętych, lecz oko szafrowe pełne ży-  
cia, czoło jasne i czyste jak młodej dziewczy-  
ny, i usta okolone wyrazem dobroci pociągały  
ku sobie. Lubo ukształcony, lecz znać w umy-  
śle więcej łatwości niż pracy, więcej pospie-  
chu niż głębokości, większą skłonność do wra-  
żeń niż do refleksyj. Świat i ludzi osądzał  
nie jakimi byli, ale najczęściej jakimi ich  
mieć pragnął, ztąd często w zawiązanych ser-  
deczniejszych stosunkach niepopodobna mu było  
wytrwać.

Na wstępie swojej znajomości z rodziną hra-  
biostwa Zarebskich, zrażało go wiele rzeczy,  
wytłumaczył je jednak na lepsze sam przed  
sobą, i bywał jak zamierzył.

Delfina dostrzegła od razu że Karol czegoś  
innego potrzebuje jak salonowce tuzinkowi;  
z ostrożnością też wypowiedała swoje prze-  
konania, rozpatrując się uważnie w sposobie  
widzenia młodzieńca, a wiedziona tą bystro-  
ścią czy instynktem, jaki w kobietach do-

strzeża się nieraz w tak wysokim stopniu że graniczy prawie z jasnowidzeniem, odgadła punkt, z którego Karol spoglądał na świat i jego sprawy, i wkrótce na każde pojęcie, na każde przekonanie zgadzali się nieledwie.

Lecz dodać potrzebujemy, że wśród rozmów jakie prowadzili, hrabianka zwracała na niego często czarne wyraziste oczy, a temu spojrzeniu towarzyszył nieraz uśmiech tém rozkoszniejszy, że nie był jakby przyrosły do jęj ust, lecz dopełniała nim własnych słów, lub był akordem do myśli młodzieńca.

Delfina bez żadnego względu na tło materialne z jakiego postać Karola występowała, byłaby się mogła w nim pokochać, tém bardziej iż sympatya jego ku niej widocznie wzrastała. Jednak teraz bawiąc się swemi marzeniami, i zapuszczając się w nich od przypomnienia spojrzeń młodzieńca które z widoczném zajęciem zatrzymywały się na jęj licach, coraz daléj, coraz daléj, aż się już widziała jego żonę, i siedząc obok niego w nowiuteńkiej karcie oddawała wizyty, lub w wykwintnym sa-

lonie przyjmowali razem gości, zwolna jednak postać Karola zaczęła się gdzieś w cień usuwać, a ona sama coraz wyłączenięj przesuwiała się w obrazkach po tle własnej wyobraźni. Widziała się na piedestału najwięcej otoczonej damy, w której ze stolic Europy, przypatrywała się sama swęj osobie, swoim wdziękom podniesionym strojem, jaśniejącym brylantami, słyszała szmer kiedy na bal wchodziła, i nazwisko pani Czarnkowska mile jęj w uszach dzwoniło — a Karola nie widziała już obok siebie. To znowu była na teatrze, i ujrzała wszystkie perspektywy zwrócone na swoję lożę, po skończonym akcie mężczyźni biegli do jęj drzwi, żeby choć jedno słowo, jedno spojrzenie od nięj pozyskać — a kobiety ciekawym a razem zazdrosnym spoglądały na nią wzrokiem.

Trawiła niejednę godzinę w nocy, bawiąc się tak zachwycającemi ją marzeniami, a ujrzawszy Karola spoglądała na niego jako na urzeczywistnienie tych czarujących obrazków.

Karol przejeżdżał tylko przez Ostendę i nie myślał tu pobawić jak dni kilka, a ztémwszy-

stkiem jego pobyt przeciągnął się już do trzech tygodni. Ile razy zabierał się wyjeżdżać, i wspomniawszy o tém hrabiance, ona wyraźnie posmutniała, a potém wymówiła słowo zachęcenia żeby pozostał — więc i nie odjeżdżał.

Młodzieniec wychowany w surowych obyczajach i od dzieciństwa otoczony przykładami poważania dla kobiet, uczuwszy głos miłości w sercu, powiedział sobie — oto jest żona dla mnie przeznaczona — i jak najspokojniej oddawał się temu przywiązaniu, pewien będąc iż rodzice wybór jego potwierdzą. Znał ich przekonanie pod tym względem i wiedział: że w swojej synowej nie więcej nie będą żądali oprócz przymiotów serca i rozsądku, pewnego ukształcenia umysłu, wychowanej w przykładach moralności, i miłującą ognisko domowe nad wszystkie gwarne zabawy. Taką zdawała mu się Delfina, o majątek wcale się nie dopytywał, ten który miał objąć, uważał dostatecznym przy dobrym zarządzie na utrzymanie przyszłej rodziny.

Nie było to jednak złudzenie ze strony Ka-

rola iż Delfina posiada te wszystkie przymioty jakich pragnął w towarzyszce życia swego, gdyż rzeczywiście okazywała znudzenie tych ciągłych zabaw, i z niecierpliwością oczekiwała ukończenia kuracyi rodziców, aby co najprędzej do miłego dla niej Kocka powrócić. Ubiór jęj gustowny jak zawsze, lecz teraz wdziwała suknie z niekosztownych tkanin — złota i drogich koronek jak najmniej używając.

Nie uszło to uwagi rodziców i brata, matka zrozumiała te zmiany w córce, pochwałała jęj prosty smak i to zamiłowanie zaciszy wiejskiej w obecności Karola. Szeptala jednak na ucho poufalszym znajomym, że Delfinka czasem ją niecierpliwi tém usposobieniem do domowego zacisza, że to miała od najmłodszych lat, i na pierwsze bale prawie ją gwałtem wprowadzać musiała.

„Jestem pewną — dodawała — że jak pójdzie za mąż świat ją nie ujrzy. Lękam się nawet czy się nie odda szafarstwu i folwarcznemu gospodarstwu, taki ma pociąg do tego.“

Kółko bliższych znajomych u wód łatwo uwierzyło słysząc z ust matki o upodobaniu córki do zacisza domowego, tém więcej że Delfina nie zaprzeczała wcale temu. Ojciec i brat czasami ją prześladowali za te zmiany, lecz ten pierwszy tylko dla żartu, owszem z pewnym zadowoleniem słuchał dowodzeń córki, domyślając się że zakochana panienska stosowała się do usposobienia Karola, co uważał za rzecz arcy-rozśadną gdzie chodziło o zrobienie tak świetnej partyi.

Adolf tylko brał tę rzecz na serio, przepowiadał siostrze iż się zrobi z niej gomularka, i pytał co po majątku, talentach i wdziękach kobiecie, jeżeli je zamknie w prozaicznym pożyciu małżeńskim, w jakimś domu mniejszym czy większym na wsi?

Delfina tak pięknie a razem rozsądnie brata usiłowała przekonać, że kiedy raz po takim sporze Karol przyszedł do hrabiostwa, matka poruszyła tę kwestyę.

„Szkoda żeś pan trochę wcześniej nie przy-

szedł, jestem pewną żebyś był stanął po stronie Delfiny.“

„I o cóż chodziło?“ zapytał przybyły zacierając miejsce na fotelu naprzeciw hrabianki.

„Adolf nie chce zrozumieć przyjemności życia, pędzonego zdala od gwaru zabaw,“ dorzuciła panna.

„I prześladowuje Delfinkę o jój usposobienie do życia wiejskiego — dodała matka. Ja się nawet lękam czy Delfinka w karnawał na jaki bal da się namówić“ kończyła spoglądając na córkę pytająco.

„Ach wdzięcznąbym mamie bardzo była, gdyby mię od tego chciała uwolnić.“

„Więc na serio chciałybyś w Kocku karnawałować?“ pytał brat z zadziwieniem spojrzawszy na siostrę z głębi fotelu, gdzie z wygodą siedział wsparty.

„Gdybym nigdy na balu nie była, mogłabym zatęskniła za zabawą nieznaną, a może i nie zatęskniłabym wcale z mojem usposobieniem. Bal niewątpliwie zajmie chwilowo wy-

braźnią, ale po nim cóż pozostaje jeżeli nie zmęczenie fizyczne i czczość w duszy?”

„Bal, mianowicie dla młodej kobiety, to arena popisu, tam się dopiero oceniają jój piękność, gracia, a nawet dowcip,“ utrzymywał brat z przyciskiem.

„Ale mój kochany Adolfe — mówiła siostra z łagodnością — jeżeli kobieta nie znajduje zadowolenia błyszczczenia przed światem temi powabami?”

„Tobym powiedział: że nie jest kobietą comme il-faut, ale w jakiejś mleczarni wychowaną i lękającą się świata.

Delfina na ten wyrok brata uśmiechnęła się mówiąc:

„Być może, iż to jest parafiaństwem nie rozmyślać nad sobą, ale szukać zadowolenia w obowiązkach i nie nudzić się samėj. Ale ja kiedy mi mama pozwoli że zarządzę domem, potem przeczytam coś dla umysłu lub serca, zaśpiewam choćby samėj sobie, wierz mi że najlepiej się zabawię.

„To są romanse“ odrzekł Adolf zniecier-

pliwiony, nie słysząc dawniej nic podobnego z ust siostry.

„Za moich młodych lat — dodała hrabina — panny lubiły nad wszystko świat i zabawy. Prawda że przywiązywano do tego jakąś ważność, i kobieta dużo się zabawom oddająca, tém samém odznaczała się pewną wyjątkowością. Myśmy już inaczej nasze córki wychowały!“

„Niewątpliwie że pojęcia czasowe wiele na to wpłynęły — odrzekł Karol — ale usposobienie indywidualne jest tu stroną przemagającą, bo osoba która się potrafi korzystnie i przyjemnie zająć w domu, nie będzie czuła konieczności licznych i gwarnych zebrań, które mianowicie u pań obdarzonych bogatszą niż my wyobraźnią, służą w chwilach próżnowania za kanwę do haftowania na niej różnych arabesków. Ztąd dla nieumiejącej czasu w codzienném życiu zapelnąć, mają bale i inne publiczne zabawy tyle pociągu.“

„Ja myślę że większe zamilowanie poezyi w naszej generacyi niż w dawniejszych, przy-

czynia się wiele do tego, a nowsi poeci nauczyli nas kochać naturę i ognisko domowe“ — dodała Delfina zwróciwszy swoje piękne oczy na młodzieńca.

„I żeście panie po większej części zostały artystkami — dodał Karol. — Bo choć nie każda z bogactwem talentem, to rzadko która z pewnym ukształceniem żeby nie miała poczucia piękna. Są panie co nie malują pędzlem, ale rzadko która żeby nie urządziła swego ogrodu w piękny krajobraz, i żeby nie starała się o ozdobność tego co ją otacza; — nie każda gra lub śpiewa, ale każda czuje muzykę i rozumie harmonią rozlaną w naturze. A jak pani słusznie powiedziała: że wszystkie lubią i czują poezję. Mają więc poezję w sobie, choć nie wszystkie uposażone darem jej sformułowania.“

„Zgadzasz się pan, że niewieście i poezyi jeden jest początek — jak wyrzekł nasz znakomity poeta?“ pytała Delfina z uśmiechem i spojrzeniem zwróconem do młodzieńca.

„A jabym dodał, że kobieta jest zdolną

być uosobieniem poezyi“ dodał Karol, bo w téj chwili przez piękne oczy hrabianki patrzył na ród niewieści. Lecz téż te oczy z taką miłością spojrzwały mu po kilka razy w lica, jak jeszcze nigdy.

III Nie dziwiło to Karola, bo miał téj samej nocy wyjeżdżać, i ostatnie to chwile przed rozłączeniem się przepędzali razem.

Uczuł téż że mu serce w piersiach silniej uderzyło, że szczęście i uczucie wybiło mu rumieńcem na twarz widząc tak wyraźne dla siebie przywiązanie, pomieszany poszukał wzrokiem hrabiny i Adolfa — ale ich w salonie nie było. Zajęty sąsiadką nie uważał jak Adolf znudzony ich rozmową ziewnął po kilka razy, spojrzął na zegarek i nagle wyszedł, bo to była godzina gdzie w banku karciańskim zwykł był codziennie próbować szczęścia. Za nim wysunęła się i matka do przyległego pokoju przymknąwszy drzwi za sobą.

IV Karol widząc że są sami i że Delfina tak ślicznie na niego spogląda, poszedł za popędem swego serca, ujął jęj rękę i ucałował

z uczuciem. Panna odpowiedziała mu uściśnieniem dłoni i przytłumioném westchnieniem. Młodzieniec na to westchnienie i uściśnienie ręki miał w sercu odpowiedź: „Kocham panią jak człowiek kochać może, zostań moją żoną a uścielę ci szczęściem drogę życia...“ Milczał jednak równie teraz jak przez wiele dni poprzednich, choć spojrzenia Delfiny wołały nieraz o słowa. Karol nawykł poważać wolę rodziców, i bez ich poprzedniego zezwolenia nie śmiał zrobić tak ważnego postanowienia w życiu, a choć był prawie pewien że potwierdzą wybór jego, nie chciał jednak ich powagi obrażać wyrzekając decydujące słowo bez rodzicielskiej wyraźnej woli.

Głębokie, poważne uczucie oblało teraz lica jego, i czulém spokojném okiem patrzył na postać ukochanej, ubraną w suknię z białego muślinu skrojoną pod szyję, na wydatne linie bladawej twarzy, której rysunek wykończyły czarne bogate włosy kształtnie ułożone nad czołem i spuszczone ku twarzy.

Delfina jakby pociągnięta siłą jego wzroku

spojrzała ku niemu, i rumieniec ten gość prawie jój nieznany, oblał jój lica. Spuściła oczy zwykle tak śmiało i dumnie spoglądające, — a z tém pomięszaniem kobiecém dla Karola jeszcze piękniejszą była. Przez chwilę tak siedzieli, naraz Delfina się podniosła, zbliżyła do fortepianu, uderzyła kilka akordów, i zaśpiewała pełną namiętnego uczucia pieśń włoską — a ta potęga miłości nietylko że była w muzyce i słowach, ale wybuchała w silnym jój głosie, i tryskała z czarnych źrenic. Dla Karola nie potrzeba już było téj wulkanicznej pieśni, ani namiętnego wyrazu głosu i iskier w spojrzeniach, bo ją kochał z całą mocą w téj chwili, a płomień co wypadał z pieśni już go nie zapalał więcej, ale męczył jakby mu ofiarowano skarb który pragnął posiadać, a jednak nie chciał ręki wyciągnąć po niego.

Stał téż naprzeciw Delfiny blady, z włosami odrzuconemi z czoła, z rękami zkrzyżowanymi na piersiach, i nieruchomy jak posąg — wpatrując się w jój lica słuchał śpiewu. Kiedy ostatnie tony z jój piersi wypadły, opu-

ściła ręce, pochyliła głowę i zdawała się bli-  
ską zemdlenia. Karol przełknięty poskoczył  
ku niej, zapytując niespokojnie: „Czy pani  
słaba?“

Ona podniosła wzrok na niego, tak mdle-  
jący a razem pełen miłości, i wyciągnęła białą  
rączkę na pół osłoniętą przezroczystym mu-  
ślinem, z tak wymownym gestem spólcucia,  
że młodzieniec upojony tém do reszty, zapo-  
mniał o woli rodzicielskiej którą postanawiał  
przed chwilą co dopiero szanować, i całując  
podaną rękę szepnął: „Delfino droga, kocham  
cię nad wszystko!“

„Czy ja cię kocham Karolu, nie pytaj, bo  
widzisz co się w sercu mojem dzieje“ — od-  
rzekła silnym, namiętym głosem.

W téj saméj chwili hrabina ukazała się  
na progu, córka podniosła się z miejsca i zbli-  
żyła do niej całując w rękę.

„Mamo kochana! Nieprawda że potwier-  
dzisz wybór mego serca? Pan Karol zrobił  
mi wyznanie swojej miłości i ja je przyjąłem.“

„Szanuję pana Karola, ufam jego chara-

cterowi, i śmiało mu powierzam los mego dziecka“ mówiła hrabina z wyrazem czułości podając Karolowi do ucałowania rękę. I od téj chwili młodą parę uważała za narzeczoną.

Wkrótce nadszedł hrabia, żona zwróciła się do niego:

„Pan Czarnkowski oświadczył się o rękę Delfinki, ja z mojej strony potwierdzam wybór naszej córki.“

„I ja go potwierdzam — mówił hrabia promieniujący radością. — Niech wam Bóg błogosławi.“ I uściskał narzeczonych kolejno ze łzami rozczulenia w oczach.

Karol tą nieprzewidzianą deklaracją był trochę zakłopotany, i prosił żeby to zostało familijną tajemnicą aż do czasu dopóki on sam nie będzie się widział z rodzicami, i ci nie zjadą do Kocka podziękować że jego prośba o rękę panny Delfiny została przyjęta. Zaraz téż téj samej nocy postanowił wyruszyć wprost do Grodka, nie zatrzymując się nigdzie, bo mu spieszo było usłyszeć z ust rodzicielskich potwierdzenie wyboru jego serca.

Adolf zagrał się tego wieczora w karty dłużej niż zwykle i nie widział już narzeczonej par, choć Karol upojony szczęściem zaledwie pół godziny przed wyjazdem zdołał się oderwać od rozmowy z Delfiną, i pożegnać słodkiem słowem: do prędkiego zobaczenia.

Żeby nie mieć szczęścia młodej pary, hrabina nikogo na wieczor nie przyjęła, mówili więc z sobą spokojnie, swobodnie, o wzajemnej miłości, i pokrótce skreślili plan przyszłego życia — na wsi, wśród kwiatów, muzyki, zajęć umysłowych i gospodarczych, a to wszystko urozmaicając towarzystwem familijném i kilku domów sąsiedzkich.

## 9.

W kilka dni po wyjeździe Karola Czarnkowskiego z Ostendy, wyruszyli i hrabiostwo z powrotem do domu, aby przyjąć oficjalną deklaracją pułkownikostwa o rękę córki.

Stanąwszy w Kocku powitani zostali nader przykrém wydarzeniem — meble, srebra, pojazdy, wszystko obłożone było dnia poprzedniego aresztem, i trzeba się było spodziewać publicznej licytacji. Córka i rodzice byli rażeni jakby piorunem, lękali się czy ten zły stan majątkowy nie wpłynie na zdanie p. p. Czarnkowskich, a znali przywiązanie syna dla rodziców, i przewidywali iż bez ich zezwolenia pewnie się nie ożeni, mimo miłości jaką Delфина rozbudziła w jego duszy.

Zatradowanie rzeczy nie było nowością w domu hrabiostwa, lecz zawsze znalazł się

jeszcze sposób dostania pieniędzy, czy na hipotekę dóbr, lub lasu jakieś szczątki, nareszcie sprzedano zboże albo wełnę które za rok urość miały, dość że zapobieżono publicznej licytacji.

Przemijały też takie przykre wypadki w domu hrabiostwa jak burze na wiosnę, po ich przejściu żadna zmiana w życiu nie następowwała, opływano w dostatki, i ubiegano się za zabawami jako jedynym celem życia — zapominano co było wczoraj i nie myślano co będzie jutro.

Tą razą wszystkie możebne środki dostania pieniędzy zostały już wyczerpnięte, i hrabia nie żartami się zakłopotał, gdyż mimo odbytych podróży do bankierów żydowskich na okolicę, nie uzyskał pożyczki — żona mebli, sreber i pojazdów do użytku nie miała. Robiła też mężowi ciężkie wyrzuty, których we wszelkich przeciwnościach życia nigdy mu nie szczędziła. Choć je hrabia znosił z dziwną cierpliwością, nie zapominając na chwilę co żonie zawdzięcza, widocznie jednak tak ciężkie

dokupowanie się zadowolenia próżności, wyczerpywało jego siły.

Głowa z dumą noszona zaczęła się pochylać, czoło na pół wylysiało, a reszta włosów znacznie posiwiała, schudł i twarz poorala się zmarszczkami, temi hieroglifami duszy, czytelnymi tylko dla wtajemniczonych w bolesti i udręczenia nasze.

Teraz te kilka dni które przeżył w zmartwieniach od powrotu z Ostendy, zestarzały hrabiego o lat kilka — każdego dnia wyjeżdżał z domu pełen niepokoju czy zdoła znaleźć gdzie pożyczkę, a wracając z niczem, drzał: przewidując rozpacz córki i wyrzuty żony...

„Półtora miliona złotych mego majątku było przy kupieniu Kocka — powtarzała hrabina. — Dziś wartość dóbr podniosła się o drugie tyle, i ja z trzema milionami posagu jestem prawie w nędzy. Powinnam mieć rocznego dochodu najmniej 25,000 talarów; czy był rok w którym tyle miałam do mojej dyspozycji? O miała moja matka słuszność

przepowiadając mi nieszczęście, znała lepiej charaktery niż ja! Młodość przepędzić w niedostatku, w kłopotach majątkowych, to prędzej można — ale wtenczas kiedy dzieci dorosłe, kiedy przez długie lata przywykło się do dostatków, żyć w takich zmartwieniach — ah! to okropnie! I siadała na najbliższém słomą wyplataném krześle, jedynych meblach które im na użytek zostawiono, załamawszy ręce ciężko wzdychała lub gorzko płakała.

Mąż w takich razach był milczącym, sięcząc gorycz słyszanych słów wgłęb swoich piersi, gdzie się przerabiały w zjadliwą dla niego truciznę.

Delfina blada w zaniedbanym stroju, błąkała się przez dnie całe po najciemniejszych stronach ogrodu; Karola Czarnkowskiego nie było widać, choć się na pewne był obiecał drugiego dnia po ich przyjeździe do Kocka. — Widocznie już o mnie nie myśli — powtarzała w duszy hrabianka — już wszystko skończone! Dowiedział się co się u nas dzieje i dla tego nie przyjeżdża. I te złowieszcze słowa: wszy-

stko między nami skończone — zalegały ciężarem jój piersi i rozbijały świetne obrazki przyszłego życia z taką lubością wymarzone. Z eleganckich paryzkich salonów które w myśli na dobre była zamieszkała od dnia deklaracji Karola, ujrzała się w tak przykrój rzeczywistości; nie téż dziwnego że ją prawie rozpacz pobierała, i nie pomyślała na chwilę o ukojeniu smutku strapionych rodziców.

Adolf posępny, milczący, po całych dniach przesiadywał z cygarem w ustach na balkonie pałacu, unikając o ile mógł spotkania matki, która nie przestawała o całe nieszczęście oskarżać męża. Syn czuł niesprawiedliwość tych skarg, wiedział jak najlepiej że rodzice wspólnie się przykładali do utraty, nie mógł się téż często powstrzymać żeby nie stanąć w obronie nieobecnego ojca, i przypomnieć matce że i ona jest winną, co hrabinę wprawiało w gniew i rozpacz tém większą, obsypując dzieci zarzutami: że są niegodziwemi, niemającemi współczucia na jój cierpienia. W takich razach Adolf i Delfina uchodzili od matki, i rozdrażnieni

rozpamiętywali jój życie, z którego wiele przypomnień zachowali w pamięci z lat dziecińczych gdzie ich się nie strzeżono, jak i z późniejszych gdzie nie zawsze przed niemi ukryć się zdołano — a wszystko razem nie budziło w nich powinno szacunku dla matki. Nazwisko pana Świtalskiego często było na ich ustach wśród tych przykrych przypomnień.

I ojciec nie był bez winy w ich przekonaniu, surowo osądzali jego bezwładność w prowadzeniu gospodarstwa i interesów, lekkomyślność pożyczania pieniędzy na wysokie procenta, i niemyślenie o następstwach z tego wszystkiego, mieli żal do niego, lecz przynajmniej nie zatracili winnego szacunku.

Osądziwszy rodziców tak grzesznymi względem siebie, nie czuli potrzeby niesienia im pociechy, owszem unikali widoku ich boleści, aby sobie i téj przykrości oszczędzić. Ten zupełny brak serca i zagórowanie interesu własnego nad wszystko, było prostém następstwem ich wychowania — jakim ich chlebem karmiono, takimi na duszy wyrosli. Edukacja którą

im dawano, nie miała na celu uszlachetnienia ich i podniesienia moralnie, ale jedynie jako środek miała córce służyć do pojęcia bogato za męża, synowi zaś aby się stał podobnym do Francuza i Anglika, a udawszy się takim mięszkańcem miał imponować rodakom, i rozumie się że także bogato ożenić.

Ztémwszystkiém Adolf po ukończeniu edukacyi, uczuł się we własnym kraju jak ptak któremu skrzydeł braknie do lotu — gdzie była rozmowa umysłowa tam nie miał co powiedzieć — kiedy rówiennicy zabierali się do jakiegoś zawodu na dalsze życie, to widział żeby żadnemu nie podolał — gdzie się bawiono tam się nudził, nie mogąc się oswoić z obyczajami dla niego obcemi, zaaklimatyzować we własnej ojczyźnie.

Gustawowi o kilka lat młodszemu dawano podobne jak i starszemu synowi wychowanie, i to cudzoziemskie półukształcenie co jak prawdziwa trucizna niszczy rozsądek i prostotę serca nie dając w zamian nauki. A że się Gustaw szczęśliwie uchronił od zraty jedne-

go i drugiego, to był winien żywości swęj natury, która wybiegała po za ramki w jakie ją ujmowano — czuł silniej i myślą sięgał dalej niż reszta rodziny.

Wcześniej téż nawykł cenić sam siebie, nie łatwo ustępował, a rozkołysując się tém zadowoleniem z samego siebie, wyrastać musiał upornym i zarozumiałym. Ta ostatnia wada była mu bodźcem do lepszego.

Po skończonej niemiecko-francuzkiej edukacji udzielanej mu przez guwernantki, guwernerów, a od czasu do czasu na dorywczą w jakim zakładzie świeckim albo zakonnym, widział sam że go nic prawie nie nauczono, gdyż powróciwszy do kraju co chwila czuł się upokorzonym w obec swoich rówieśników, — i bądź co bądź postanowił posiąść naukę. Nie myśląc nad tém czy był stosownie przygotowanym, czy jego jakby panińska edukacja może służyć za podwaliny gruntownym wiadomościom, został w Berlinie na uniwersytecie, używszy czasu i pieniędzy przeznaczonych mu przez rodziców na podróżowanie po świecie.

Był on co się nazywa pięknym młodzieńcem — rysów twarzy posągowej regularności, oczy czarne podłużne iskrami życia zdawały się tryskać, czoło otwarte osłonięte ciemnymi włosami, postać nader kształtnie zbudowana i wyrosła, żywych ruchów pełnych elegancyi.

Pod tą klasyczną regularności formą, dziwnie zmieszany wyrobił się charakter: było w nim dużo złego i dobrego, choć natura lepsza częściej przeważała. Już to sam siebie zdawał się kochać bez miary, nie był to jednak egoizm któryby rad wszystko pochłonił na swój użytek, ale raczej miłość własna jaka rada ściągnąć wszystko w promień swój osobistości, aby co najświetniej przed oczyma drugich jaśnieć. Gustaw był drażliwym, upornym i zarozumiałym — a jednak uczynnym i tkliwego serca na cierpienia drugich aż do zapomnienia samego siebie. Lecz kiedy czuwał przy łóżku chorego kolegi lub dzielił się ostatnim groszem z rozrzewniającą delikatnością, niechby ten jednem słowem zaprzeczył jego twierdzeniu lub potracił o miłość własną, w téj

samój chwili wybuchał przeciw niemu prawie z nienawiścią.

Na uniwersytecie bez żadnego systematu biegał z prelekcji na prelekcją, dowiedział się więc o czém każda umiejętność traktuje, lecz do zrozumienia na wskroś której bądź nie doszedł. Nie uważał też za potrzebne uczenia się gruntownie czegokolwiek, bo nie dla miłości wiedzy lecz dla próżności ponosił trudy nauki.

Ten brak gruntowności nie przeszkadzał mu żeby w każdej rozumowej materji nie miał mieć swego zdania, gdyż nie chodziło mu o przekonanie przeciwnika, lecz jedynie o popisanie się ze swoim własnym. Dziwnie też spornym w każdej był dyspucie, posuwał to prawie do stanu chorobliwości, czy mówiono o kroju pantofla, czy o rotacyi gwiazd, on ze swoim *nie* w rozmowę drugich wpadał. Ci też tylko co znali poczciwy grunt jego serca nie zniechęcali się do niego, lecz dla obojętnych towarzystwo Gustawa stawało się wkrótce nieznośnym, i mimo zacności swojej mało przyjaciół liczył.

Tadeuszowi Zarębskiemu stryjecznemu bratu który był także na uniwersytecie w Berlinie, przywykłemu do loicznego myślenia i żywemu z natury, wiele krwi napsuł w codzienném studenckiem pożyciu, lecz przekonawszy się o jego poczciwém sercu, wytrwał z nim w bliższych stosunkach.

Przytém umysł miał Gustaw bystry, rozciekawiony i ruchliwy, z natury był czynnym i choć nie nawykły do systematycznój pracy, lecz dorywczo i z pospiechem nie rzadko gorączkowym, nie cofnął się przed najmóźolniejszą i nie zraził żadną przeciwnością.

Uspობienia i skłonności Gustawa do brze zakierowane i oparte na podwalinach gruntownej edukacyi, byłyby stworzyły znakomitego człowieka ubogaconego energią charakteru i nauką, i pożytecznego obywatela krajowi niewątpliwie.

Śród tych kłopotów domowych przyjechał Gustaw do domu na ferie, nie wiedząc co się tam dzieje. Ojca nie zastał a matka

zaraz na wstępie przyjęła go skargami na męża i dzieci, które przed jój smutkiem uciekają.

Serce młodzieńca ścisnęło się boleścią spojrzawszy na twarz matki zmienioną nie do poznania, na oczy w których jeszcze były ślady łez, na ubiór w nieładzie, na włosy nie uczesane ani przykryte czepkiem, kiedy od dzieciństwa nawykł ją być widzieć pełną staranną wykwintności w stroju. Ucałowawszy w milczeniu jój ręce nie mógł się powstrzymać od płaczu, a nie chcąc wypytywaniem rozdrażniać jój bardziej, biegł do brata wywiedzieć się o całym ogromie nieszczęścia.

Zastał Adolfa pół leżącego na szezlongu trzymającego w ręku jakąś powieść francuzką i palącego spokojnie cygaro. Ujrawszy wpadającego Gustawa zplakanego, z licami rozognionemi, złożył książkę i zwrócił do brata twarz zimną i obojętną jak zawsze.

„Powiedz mi Adolffie co się dzieje, czy już wszystko stracone, czy rodzice i Delfina nie będą już mieli własnego kącika?“ wykrzyknął wchodzący stawając przed bratem.

„Nic nie wiem, nie znam interesów, ale myślę, że nam nic nie pozostaje jak w łeb sobie palnąć“ — wycedził przez zęby odpowiedź.

„Mniejsza o mnie i o ciebie, potrafimy sobie zaradzić — ale rodzice?“... i lzy potoczyły się po licach Gustawa.

„Po cóż się głupio rządźli“ odrzekł Adolf z przyciskiem.

„Nie mamy prawa ich obwiniać, myśmy z sobą na świat nic nie przynieśli — stracili to swoje“ odparł drugi z żywością.

„A jakież masz projekta do exystencji?“ zapytał starszy szydząco.

„Młodość i pracę.“

„Idea wyjęta z powieści,“ odpowiedział Adolf z ironicznym uśmiechem.

„Idea wyjęta z czującego serca i myślącej głowy“ powtórzył Gustaw z wyrazem zniecierpliwienia, spojrzawszy na brata z dumą wyższości, i wybiegł z pokoju.

Dowiedział się od służących bez zatrudnienia kręcących się po domu i ciekawie spozierających na rozgorączkowaną twarz jego, że

panna Delfina pewno jest w ogrodzie gdzie po całych dniach przesiaduje. Dość długo przebiegał obszerny ogród i park, nim ją dojrzał przechadzającą się wolnym krokiem w ciemnym szpalerze.

Spostrzegłszy brata zatrzymała się czekając jego zbliżenia. Udręczenia jakie od dni kilku zamknięte w jej piersi szamotały nią gwałtownie, odbiły się jasno na jej licach okrytych przerażającą bladością. Z zaciśniętymi ustami i wzrokiem, gdzie na tle rozpaczki zamigotało teraz wzruszenie rozbudzone ujrzeniem Gustawa pierwszy raz po tak ciężkim dla obojga ciósie, przyjęła pocałunek powitania nie oddawszy go na wzajem.

Brat przez chwilę patrzył w bolesnym milczeniu na złamaną utrapieniem siostrę nim się zdobył na zapytanie.

„Zkądże to na raz spadło jakby piorunem na nasze głowy.“

„Kto tak zarządzał nie rozmyślnie majątkiem jak rodzice, to tak się skończyć musiało.“

„A w czémże to zle leżało?“

„W niegospodarności ojca i rozrzutności matki.“

„I Adolf rodziców obwinia?“ dodał Gustaw na pół przekonany.

„Wychowano nas jak bogatych, a nie pomyślano o zachowaniu majątku dla nas!“ mówiła Delfina z goryczą.

Nie tylko w myśli Gustawa ale znać i w uczuciu nie było całości, nie było żadnego ciągu — serce i głowa ulegały momentalnemu wrażeniu, a nie rzadko podrażnionej miłości własnej. Przed chwilą szydercze słowa Adolfa oburzyły go do żywego, kiedy teraz te same skargi na rodziców powtórzone przez siostrę uznawał słusznymi. Nie tylko dla tego że je wymówiła z spokojną powagą, ale więcej jeszcze że ją kochał czulej i cenił jój rozum wyżej niż brata. Przekonanie jego ozwało się innym tonem pod naciskiem sympatyi nie kłopotąc się wcale po której stronie prawda.

„Nierozwaga rodziców przyczyną całego nieszczęścia. I jakże się to skończy?“ pytał spojrzawszy badawczo na siostrę.

„Przecież co do grosza majątek nie stracony? Nie! to nie podobna — wykrzyknęła gwałtownie. — Lepiej umrzeć,“ dodała, przycisnąwszy załamane dłonie do czoła.

„Uspokój się Delfinku! Jestem pewien że tak źle nie jest — ale ojciec nie obrotny.“

„Powiedz niedołązny“ dorzuciła siostra z goryczą opuszczając dłonie.

„Czy zechce lub nie, zajrzę w interesa, a jestem pewien że się złemu zaradzi“ mówił Gustaw z wyrazem pewności na licach.

„Ja, bo nie odzyskam nigdy com straciła. Karól ani tu już powstał“ mówiła głosem skargi.

„Nie masz czego żałować — widać że cię nie kochał“ odpowiedział z żywością.

„Delfina zacisnęła usta z nieukontentowaniem i rozpoczęła przechadzkę, przypuszczenie że nie była kochaną dotknęło ją nie mile. Brat szedł obok niej milczący, nie śmiać zaczynać rozmowy. Po dość długiej chwili usłyszeli tentent kół.

„To pewnie ojciec powraca,“ mówił wsłuchując się w kierunek turkotu. Chodź Delfinku bo muszę iść powitać ojca.“

„Proszę cię zostaw mię tutaj. Dostyc się i tak nasłucham jeremiad mamy i skarg na papę, jak gdyby jój życie było jedną ofiarą. A pewnie ona winniejsza. Zresztą najlepiej mi tak samój, zdala od ludzi, wśród szumu drzew.“

Gustaw pospieszył do pałacu, i wszedł do ojca pokoju gdzie ten co tylko był stanął. W otwarte ramiona przyjął hrabia najmłodsze ze swoich dzieci, w którego sercu odgadywał najwięcej miłości dla siebie, całował i przyciskał do piersi syna głowę widząc łzy płynące po jego licach. Ten też zapomniał o wszystkich przewinieniach o jakie przed chwilą oskarżał ojca, pamiętał tylko o tém że on strapiiony, przyciśnięty nieszczęściami i pragnął mu ich ulżyć, lub przynajmniej z nim je podzielić.

Uspokoiwszy się ze wzruszenia, z pospiechem zaczął się wypytywać o stan majątkowy. Ojciec nie zupełnie szczerze na pytania odpowiadał, nie w zamiarze utajenia czegoś, lecz tak nawykł ludzić drugich i samego siebie, iż się to już zlało z jego naturą. Umniejszony

majątek upokarzał go, robił uszczerbek jego pretensyi do pańskości, chciał i wyperswadował sobie: że choć chwilowo jego interesa sprawdzają mu kłopoty, wyczyszczą się i będzie miał majątek jak dawniej.

Gustaw choć był bystrego objęcia z natury, nie oswojony jednak z przedmiotem, nie zrozumiał w całości opowiedzianego stanu interesów, widział tylko że bez gotowych pieniędzy nic rozpocząć nie można chcąc je załatwić. Najprostszym sposobem mu się zdawało sprzedać część dóbr, i zaczął ojca zachęcać do tego.

„Wiem! wiem mój Gustawie, że to jedyny sposób okupienia sobie spokojności, ale nie mam odwagi zrobić téj propozycyi matce — przewiduję gorzkie wyrzuty jakie mi robić będzie, przewiduję tragiczne twarze Adolfa i Delfiny“ mówił hrabia, opuściwszy smutnie głowę na piersi.

„Papo kochany — rozmówienie się z matką ja biorę na siebie,“ wyrzekł Gustaw stanowczo.

„Dobrze! Bo ja na to nie mam odwagi.“  
Poszedł Gustaw do matki.

„Czy to ojciec przyjechał?“ zapytała wcho-  
dzącego.

„Przyjechał.“

„Pewnie nie dostał pożyczki, kiedy mi się  
nie śmie pokazać?“ dodała spoglądając pyta-  
jąco na syna.

„Nie gniewaj się mama na ojca, bo on do-  
syć nieszczęśliwy,“ mówił Gustaw siadając przy  
matce.

„A ja szczęśliwą jestem! — wykrzyknęła  
gniewnie. — Więc i ty ledwieś nogę w domu  
postawił już mi dokuczasz równie jak drudzy.“

Syn milczący ze spuszczoneym wzrokiem  
siedział przez chwilę nim się ośmielił wyrzec:  
„Mama cierpi, ale i my wszyscy cierpimy.“

„A sprawcą naszych cierpień głupota wa-  
szego ojca“ wymówiła z niecierpliwością.

Gustaw nie śmiał już bronić ojca niechęcąc  
rozdrażniać więcej matki. Znalazł jednak od-  
wagę wymówić:

„Może temu będzie można zaradzić, ale trzeba na to pozwolenia mamy“ i schylił się aby ucałować jej rękę, którą matka ze rzutem gniewu usunęła.

„Sprzedać dobra, czy tak? Powiedz mi lepiej że mię wywiozą za godzinę na cmentarz, to wolę“ — odrzekła z gorzkim uśmiechem.

„To co pozostanie wystarczy dla mamy, papy i Delfiny, a my z Adolfem możemy myśleć o sobie.“

„Może zostaniesz aktorem, bo rolę jaką przyjąłeś od ojca, dobrze odgrywasz“ odrzekła z przykrą ironią.

„Ja zostanę u papy ekonomem i lepiej mu będę gospodarował niż ci, których ma“ odpowiedział głosem stanowczym.

„I edukacją w stodole ukończysz, to będzie z ciebie wcale dystyngowany młody człowiek.“

„Czy to wstyd pracować dla swoich rodziców? dla takiej drogiej matki?“ mówił Gustaw schylając się ze łzami do ucałowania jej ręki.

Kiedyż serce matki nie dało się poruszyć przywiązaniem dziecka? I w hrabiny piersi gorycz ustąpiła miejsca na chwilę słodsze mu uczuciu, podała synowi rękę i złożyła pocałunek na jego czole.

Gustaw korzystał z tego usposobienia matki.

„Wiem jak to mamie przykro, ale połowę dóbr trzeba będzie sprzedać koniecznie.“

Matka odepchnęła głowę syna i wpadła w spazmatyczne szlochanie. Gustaw czekał aż się uspokoiła, ucałował znowu jęj ręce mówiąc półgłosem:

„Pozwoli mama dla swego i naszego spokoju. Wierz mi mama, że inaczej być nie może.“

„Zostaw mię samą“ wyrzekła.

Gustaw wrócił z odpowiedzią do ojca, który poblady z wlepionym wzrokiem w syna pytał drżącym głosem:

„I cóż matka?“

„Da się nakłonić.“

„Czy płacze?“

„Płacze.“

„I ona płacze i na mnie narzeka, kiedy ja chciałem dogodzić każdej jej myśli, i pragnąłem tylko jej szczęścia“ — mówił boleśnie zalamując ręce.

Podobne rozpaczliwe sceny powtarzały się jeszcze po kilka razy. Delfina i Adolf jak to ojciec przewidział, chodzili z traicznymi twarzami, posepni, milczący, słuchali ojca i Gustawa o interesach radzących, lecz żadnego słowa do téj rozmowy nie dorzucili. Nakoniec hrabina dała pozwolenie, a kupiec z Pomeraanii się znalazł i kupił cztery piękne wsie od pp. Zarebskich.

Na połowę swoboda wróciła, skoro meble, srebra i pojazdy z pod aresztu były uwolnione. Hrabina zaraz się o tyle pogodziła z losem, że wspominała o karnawale, a dla oszczędności zamierzyła przepędzić go w Poznaniu z córką. Hrabia choć sam już nie miał dawnego apetytu, lecz zawsze był jeszcze wielkim znawcą sosów, i jeżeli gość się zdarzył w domu, z niespokojnością smakował każdą podaną potrawę, czy zaś cechy podbankruto-

wania na sobie nie nosi. A jeżeli znalazł że brakowało w niej jakiej doprawy, uczuł całe upokorzenie podupadłego majątku.

Adolf po staremu palił cygaro, nudził się, nie wiedział co z czasem począć, ziewał, i myślał o bogatém ożenieniu się. Gustaw czekał końca feryi aby pojechać na uniwersytet.

Delfina tylko nie odzyskała dawniej swobody, Karol nie dał znaku życia o sobie od wyjazdu z Ostendy; nie wątpiła że jój zmniejszony posag był tego przyczyną, i ztąd najsmutniej wnioskowała o swojej przyszłości.

## 10.

Karol Czarnkowski powrócił do domu po kilkumiesięcznej podróży odbywanój w celach agromicznych. Każdego roku jeden z uczniów gospodarstwa robił taką wycieczkę, tą razą przypadła kolój na starszego syna pułkownika.

Pan Czarnkowski nie zapominał na chwilę wychowując synów, że godność i wartość człowieka nie wyrasta z dostatków, owszem przy świetności rodu i majątku niewolno być bezkarnie ograniczonym, niedołącznym w czynach swego życia, i w społeczeństwie niczem więcej jak prostym konsumentem swoich dochodów. Bo kto chce jaśnieć chwałą przodków, musi ją poprzeć własnemi zasługami, inaczój w swojój osobie poniża ją tylko — a majątek obracany na zbytki czémże ma podnosić godność człowieka? Czy ten co przetrawia krocie ma

mieć więcej wartości w obec społeczeństwa niż ci co umieją wyżyć małym? Duch a nie żołądek są cechą człowieczeństwa — praca duchowa zespolona z materią, a nie uzmysławiające próżniactwo stanowią dostojność natury ludzkiej.

Karol stanąwszy w domu mimo gorącego pragnienia nie zaraz mógł pomówić z ojcem i matką o tém czém miał duszę napelnioną, a co w samotności podróży rozrosło się w żywsze jeszcze uczucie. Po powitaniu rodziców i rozpatrzeniu się że zdrowi, domownicy i służby zbiegli się do niego, a on się szczerze każdemu cieszył, bo wzajemne przywiązanie łączyło wszystkich kto zamieszkał pod dachem p. p. Czarnkowskich.

Po tych powitaniach, które wytrzeźwiły rozmarzonego w drodze młodzieńca, ojciec wyjął jego listy, jakie zarazem były z dziennikiem podróży, i żądał niektórych ważniejszych ustnych objaśnień, zostawiając szczegóły na później, gdyż wiele z nich dało powód do różnych tłumaczeń i rozmaitych sporów, całój

hierarchii agronomicznej w Grodku, i pułkownik był ciekawy kto miał prawdę.

Drugiego dopiero dnia zupełnie rano, kiedy Karol wiedział że matka po wydaniu dyspozycyi w zarządzie domowym, będzie miała czas na dłuższą z nim rozmowę, poszedł do jej pokoju — bo jakoś dzieciom w interesie serca łatwiej się udać do matki niż do ojca.

Oddawszy jej dzień dobry, zapytał czy może pozostać, gdyż chce z nią dłużej pomówić, a uzyskawszy pozwolenie usiadł naprzeciw matki i spojrzał ku niej widocznie pomieszany.

„Masz mi coś do powiedzenia kochany Karolu — mów śmiało, wiesz jak wasze zaufanie jest mi drogiem.“

Syn pocałował matkę w rękę, mocno poczerwieniał, bo też niepokój wstąpił w jego pierś, wyraźne przeczucie jakiego serca nieużyte nie rzadko doświadczają.

„I cóż?“ zapytała matka.

„Serce moje zrobiło wybór i mam zamiar żenić się.“

„A to z kim?“

„Z panną Delfiną Zarębską, synowicą panna Kaźmierza.“

Matka cała zadrgnęła. „Z córką pp. Janostwa Zarębskich?“ pytała spoglądając na syna z niepokojem.

„Tak jest“ wymówił pomieszany, widząc niemile uczucie, jakie wybiło na twarz matki.

„Mój drogi Karolu, więc ty nie znasz życia pani Janowój, nie znasz ich całego domu, że córkę w takich przykładach wychowaną chcesz mieć towarzyszką życia!“ mówiła pani Czarnkowska załamując dłonie.

„Choćby i tak było, to matce zaręczam że nic złego do duszy córki nie przyłgnęło“ — zapewniał rozkochany młodzieniec.

„Słuchaj mnie mój Karolu — mówiła pułkownikowa z zwykłą swoją powagą, choć głos miała drzący. — Ani ja ani ojciec nie mówiliśmy nigdy z tobą o pp. Zarębskich z Kocka, jużto że zawsze mamy wiele miłszych przedmiotów do rozmowy niż roztrząsanie wad pojedynczych ludzi, a potem ceniąc przyjaźń pp.

Każmierostwa, nie chcieliśmy do kogobądź rzucać niechętnego słowa na osoby tak blisko z niemi krwią połączone. A krwią tylko i niczem więcej. P. Jan nie powstał w domu w porównaniu, do jego uboższego brata, od czasu kiedy ten pojął równie ubogą jak sam żonę, a praca i oszczędność miała być ich całym bogactwem, w czym Bóg tak im pobłogosławił. Pani Janowej dość długo wcale nie znałam, przed pięciu laty dopiero spotkałam się z nią w Spaa. Ani ja ani twoje siostry nie miałyśmy do rodziny pp. Janostwa żadnego pociągu, unikałyśmy ich nawet choć w ten czas nie wiele się tam zebrało na kurację Polaków. Ale jakżeś my ich unikać nie miały? Pani sama widocznie romansowała z panem Leonem Świtalskim, o czym oddawna całe ich sąsiedztwo mówiło. Córka była młodziutka, zaledwie co wyszła z lat dzieciństwa, a Świtalski na uboczku kiedy matka wtenczas jeszcze dość piękną kim innym była zajęta, równie miłymi spojrzeniami, uśmiechem i słówkami ją obsypywał jak i matkę, a panienka wcale to mile i bez

zmięszania przyjmowała. Pan Jan zdawał się zupełnie na to nie zważać, ale był najszcześliwszy kiedy na drobną skalę mógł odgrywać, Luculusa. Panienska w takich przykładach wyrosła zadzieriała z dumą główkę, i unikała towarzystwa rowiennic w skromniejszych niż ona sukienkach, ale za to nader przystępną była dla młodych mężczyzn. Może ci tém opowiadaniem przykrość wyrządzam mój kochany Karolu“ — dodała matka widząc pomięszanie na twarzy i spuszczone wzrok syna — ale pomyśl czybym pannę Delfinę mogła przycisnąć do mego serca i nazwać dzieckiem moim?“

„Być może że zbyt weześnie w świat wprowadzono nim nadeszła rozwaga, nie zachowała wszystkich pozorów przyjętych w obejściu młodych panienek, ale zepsucie nie wniknęło do jój duszy — to nie podobna,“ bronił jój młodzieniec z żywością, choć słowa matki padały mu kamieniem na serce i rozbiły obłok ideału, który wyjął z własnej duszy i obrzucił nim postać powabnej czarnooki.

„Być może że później rozwaga była jój

tarczą przeciw złym przykładom, nie znam jój teraz więc ostatecznie osądzać jój nie mogę odrzekła pułkownikowa. — Ale jeżeli wierzysz w przeczucie matki to widzę jasno że trudnémby ci było życie obok takiej żony. Nie narzucam ci mojej woli, lecz wiesz że szczęście moich dzieci droższe mi po stokroć niż moje własne — dodała ze łzami — a ja nie mogę uwierzyć w twoje szczęście z żoną wychowaną obok zepsutej matki i marnotrawnego ojca.“

Syn w milczeniu wysłuchał matki, lecz smutek co mu gniótł piersi wybił na lica.

Pułkownikowa pochyliła się ku jego czole i ucałowała je — a syn uczył łzę która mu je zrosiła.

„Matko droga ja jestem strapiony i bardzo stroskany. Ja już otrzymałem słowo przyrzeczenia i dałem swoje nawzajem“ wymówił prawie z rozpaczą.

„Żeś się tak pospieszył?“ pytała zaniepokojona.

„Ja sam nie wiem, jak się to stało“

„Mój Karolu tylko szczerze ale szczerze mi

powiedz, lub jeżeli by cię to męczyło, przejdź teraz z zimną rozważą czy jakich stuczek z tobą niezażyto? Bo kobiety takiego rodzaju jak pani Janowa Zarębska, nie przebierają w środkach.“

Karól uderzony uwagą matki i wyrzekł fatalne słowo dla Delfiny — „Być może.“ —

„Ja ci już powiedziałam wszystko co powiedzieć mogłam, teraz pomów jeszcze z ojcem. Nie chcę być waszój rozmowie przytomną, wolę że usłyszysz jego zdanie bez mego najmniejszego wpływu na niego.“

Młodzieniec z ciężarem przykrego niepokoju w duszy wszedł do gabinetu ojca, który mimo siedemdziesięciu dobiegających lat był nie tylko czerstwy ale czynny i pracowity jak młody.

„Siadaj Karolu — mówił z uśmiechem przywiązania. — Ja jeszcze przeglądam twoje listy, i dziś na wieczór pomówimy o wielu rzeczach w naszym sejmiku gospodarczym.“

„Ojcie kochany — ja tu przyszedłem do ojca z innym interesem“ mówił z bijącym niepokojnym sercem, bo prawie już przewidywał niepomyślną odpowiedź ojca, a przypomnienie

wszystkich okoliczności jego deklaracji zaczęło mu krążyć jak zmora po wyobraźni i chłodzić rozpaloną głowę.

Ojciec rzucił pytające na niego spojrzenie. Chce się żenić z panną Zarębską „wymówił wachajaco syn.“

„Z Ludwisią?“ pytał ojciec ciekawie.

Nie! Z Delfiną synowicą pana Kazimierza Zarębskiego.

„Z córką pp. Janostwa! a toś wcale nie dobry wybór zrobił. Zmartwiłbyś matkę, siostry, bo wiem ich sąd o tych paniach, i przykro by im było powitać synową i bratową w pannie Delfinie.

„Wiem bom już z matką o wszystkim mówił“ — odrzekł Karól z przytłumionym westchnieniem.

A nie są to z ich strony przesady, bo ja sam wiele ustępów z życia pani Zarębskiej znam, które nie cechują moralności. — Córka w takich przykładach wychowana prawie nie podobna żeby została bez zmazy. Z drugiej strony czemże karmiono jój młody umysł jeżeli nie

sianem i zbytkami, bezustannemi zabawami, i włączę ją bez celu po świecie? Skądże naraz miało by się w niej rozbudzić zamiłowanie skromnego, pracowitego życia domowego wypełnianego jedynie obowiązkami rodziny i pani, a w którym zabawa może być czasem rozrywką, lecz nie celem życia kobiety. Bez tych warunków nie masz szczęścia w małżeństwie nie może być szczęścia i w domu, wierzaj mi Karolu.“

Zamilkł, lecz syn nie zdobył się na żadną odpowiedź, te uwagi ojca połączone z matczy-nemi wywarły swój skutek, i duszę jego zaległo przykre nader uczucie bo rozstrój samego z sobą. Uwierzył w słowa rodzicielskie bo wiedział jak są surowemi w przestrzeganiu prawdy, lecz miłość do Delfiny — choć przypuszczał że był w nią wciągnięty a przynajmniej z zawiązanemi oczyma w nią uwikłany — zajmowała w jego sercu dużo miejsca i boleśnie je ścisłała.

Ojciec widząc smutek na twarzy syna zaczął łagodnym głosem.

„Mój Karolu kochany, jesteś dojrzałym

człowiekiem, to co ci powiedziałem przyjm jako przekonanie pochodzące od czule kochającego cię ojca — woli mojej narzucać ci nie chcę, choć wyznam szczerze żebyś mię bardzo zmartwił tém ożenieniem. A coż dopiero matkę?

Czyż bym miał chcieć martwić rodziców? odrzekł młodzieniec stłumionym głosem.

„Znam twoje poczciwe serce mój drogi Karolu“ mówił ojciec całując z rozrzewnieniem pobladłe czoło syna.

Po chwili dość długiego milczenia ten ostatni wyrzekł wlepiwszy załzawione oczy w ojca.

„I cóż mam robić?“

„Znasz już zdanie matki i moje.“

„Ah! to prawie niepodobna ojczy kochany“ odpowiedział głosem żalu i rozpacz.

„Przecież się nie deklarowałeś?“

„Właśnie żem się deklarował.“

„Ale mój Karolu żeś to nie miał tyle zaufania do mnie i do matki żeby pierwój z nami pomówić“ odrzekł ojciec z lekkim wyrzutem.

„Kiedy ja sam nie wiem jak się to stało.

Przysięgam ojcu żem się niechciał oświadczać bez woli rodziców.“

A jednak się oświadczyłeś.“

Karól chcąc się usprawiedliwić szczegółowo opowiedział okoliczności swojej deklaracji.

„Schwytały cię jak zwyczajnie fryca, nowiciusza w takich sprawach“ — mówił ojciec porywając się żywo z miejsca. I zaczął chodzić po pokoju, co było oznaką wielkiego niepokoju w jego duszy. Syn przez chwilę ścigał chodzącego niespokojnym wzrokiem, a widząc ojca wzruszenie wyrzekł nakoniec:

„Kiedy to rodzicom tyle przykrości sprawia, toć nie mogę myśleć o połączeniu się z Delfiną.“

„Nie masz się i chwili nad czém zastanawiać — mówił pułkownik stawając przed synem z ciśniętymi od gniewu brwiami. — Gdyby przed stu laty takie panie Zarębskie były się po świecie włóczyły, to by się było nie mało małżeństw znienacka nakojarzyło, bo w takich chwilach jak ty byłeś z panną oko w oko,

rączka w rączce, byłby się i ksiądz z drugiego pokoju wysunął, i ołtarz z jakiego stołika zbudował.

I znowu rozpoczął przechadzkę, a syn wsparłszy łokcie na stole, czoło objął dłońmi i przykro się namyślał.

Uspokoiwszy się pułkownik nieco usiadł na przeciw syna. Ten dłonie opuścił i twarz pobladłą zwrócił do ojca.

P. Czarnkowski widząc tak wyraźną boleść na twarzy jego zaczął ze zwykłą dobrocią.

„Wiesz Karolu! ja bym radził postąpić szczerze, prosta droga w każdym razie najlepsza. Napisz do Pana Jana że słowa zbyt pospiesznie bez rady rodziców wymówionego nie możesz dopełnić ponieważ rodzice są przeciwni ożenieniu się twemu z panną Delfiną. I to co byś był zrobił przed deklaracją robić zmuszony jesteś po deklaracyi, zbyt późno na nieszczyście odwoławszy się do woli rodziców. Rozumiem że to nader przykre i ma w sobie coś upakarzającego dla człowieka z charakterem wyznanie: czegom pragnął wczoraj tego dziś

nie chcę, i bądź przekonany żebym w żadnym innym razie tój ofiary od ciebie nie wymagał. Ale gdzie chodzi o szczęście twego całego życia, o wprowadzenie jednej córki, jednej siostry więcej do rodziny, gdzie twój dzień wesela był by dniem smutku i boleści dla nas wszystkich co cię tak czule kochamy, jakże to inaczej zrobić?”

„Postąpię jak ojciec radzi“ wymówił Karól przekonany do reszty słowami ojca.

Pułkownik czule ucałował syna.

Tego samego dnia jeszcze napisał Karól do hrabiego Zarebskiego jak ojciec radził. Hrabia odebrawszy list lękając się scen rozpaczliwych córki, wyrzutu żony — bo nie wątpił że rzeczywisty powód ze strony Karola był zmniejszony posag Delfiny, a wola rodziców służyła jako pozór — schował list nie wspominając do niego o jego odebraniu.

Zobaczmy z kolei jakie zmiany zaszły w ciągu tych lat w domu Kaźmierostwa Zarębskich. Syn ich Tadeusz osiemnastoletnim młodzieńcem ukończywszy gimnazyum, podług własnego wyboru, obrał zawód agronoma, a ojciec uważając tę gałąź pracy za nader ważną i pożyteczną dla kraju tak wyłącznie rolniczego jak nasz, pochwalił zamiar syna tém więcej że go mógł zaopatrzyć w warsztat do tego potrzebny — dać mu wieś.

Systematyczna edukacya jaką Tadeusz odebrał służyła mu za podwaliny do głębszych nauk, ułatwiała ich zrozumienie, a tém samém budziło się w nim zamiłowanie umiejętności. Pojechał na uniwersytet, uczył się pilnie bo kochał naukę, bo ją nawykł z dziecinnych lat poważać i umiał pracować. — Nic téż dzi-

wnego że zgłębianie umiejętności było najwyższą rozkoszą dla niego.

Któż się nie przekonał że praca chroni od roztrwonienia lat młodości, daje pełność duszy zamiłowania nauki, uszlachetnia i przechowuje czystość serca, a stąd swobodę i wesołość w usposobieniu. Tadeusz ukończywszy poważną pracę umysłową, stawał się też wesołym, dowcipnym i miłym towarzyszem uczciwych rozrywek młodości — przemawiały też wyraźnie z całej jego powierzchowności, myśl głębsza i ta świeżość i swoboda duszy prawdziwie młodzieńcza.

Z rysów twarzy był bardzo podobnym do stryjecznego brata Adolfa, a jednak zdawał się zupełnie innym. — Choć linie mieli tej samej regularności i delikatności zbytniej na męczyznę, ten sam cień niebieskich oczu i blond włosów — lecz Tadeusza lica świeżej i jędrnej cery, kiedy drugiego chorobliwej prawie bladeści, jak słabych nerw kobiety, oczy pełne wyrazu i życia, w miejscu wybladłych i przymrużonych a uśmiech serdeczny na ustach, kiedy Adolfa były jakby martwe. A do tego

czoło ten tron myśli, różnie bo stósownie do szlachetności serca i wysokości ducha się wykształcili. — Adolfa było równe i gładkie jak próżna tablica, nie też z niego wyczytać nie było można, ani uczucie ani myśl nie zostawiły śladu promieni swoich — Tadeusza otwarte i lekko wypukłe, jaśniejące inteligencją i śmiało zwracające się do ludzi, przemawiało hartem duszy i zacierało delikatność prawie niewieścią resztę twarzy. Wyższym był o głowę od Adolfa a choć smukły nie tyle posuwisty co żywy w ruchach.

Na uniwersytecie należał Tadeusz do studentów uboższych, nie żeby rodzice z samemi wielkimi majątkami wyprawiali tam synów swoich, lecz ojciec trzymał się téj zasady: że jeżeli nędza odbiera nie raz młodzieńcowi siłę duszy, zwicznie poczciwe skłonności podsuwając różne środki ratowania, i często pełen świetnej przyszłości marnieje, tak znowu skromne mienie chroni go od zepsucia, i przytém nie dostarcza środków na roztrwanie czasu tego najdroższego kapitału młodości, przyzwyczajają

do odmawiania sobie tych licznych zachciewanek, do których tak łatwo przywyknąć że się w końcu człowiek staje ich niewolnikiem. Ściśle téż dochody Tadeusza były obrachowane na umiarkowane wydatki życia studenckiego, lecz otoczony z dzieciństwa przykładami oszczędności i rzadności, mniejsze miał potrzeby niż wielu uboższych rzeczywiście od niego kolegów, i wystarczył na wszystko czego życie uniwersyteckie wymagało. Przeszło dwa lata był już Tadeusz na uniwersytecie, kiedy jak się to działo każdego roku zjechał na ferie do domu.

Po obiedzie w piękny dzień jesienny po odbytej z siostrą Ludwiną przechadzce, poszedł z nią do jej pokoju gdzie zasiadła z haftem w rękę i prowadzili ożywioną pogadankę.

Kilka miesięcy upłynęło od czasu jak się nie widzieli a potrzebni byli sobie wzajemnie jak przyjaciółki, jak przyjaciele — bo kochający brat to najczulsza przyjaciółka, a kochająca siostra to najszczęśliwszy przyjaciel. Tadeusz z Ludwiną to jak przyjaciółki opowiadali

sobie teraz wzajemnie najdrobniejsze wydarzenia i marzenia jakie przez ich dusze prze-  
wiałły — to znowu jak przyjaciele udzielali  
sobie nawzajem czém się ich umysły zboga-  
ciły, a młodzieniec śmiałym okiem spoglądając  
w przyszłość swoją widział ją szeroką i pełen  
nadziei i poczucia siły gotował się w nią wstą-  
pić. Lubił tę przyszłość roztaczać przed sio-  
strą, bo téż ona z uniesieniem, z zapalem dzie-  
liła każde uderzenie jego serca. Jednym słowem  
byli ideałem dobrego brata i dobrej siostry  
i kojarzyli się jak dwie strony ducha ludzkiego  
jednoczące się w uczuciu najczystszej i najbez-  
interessowniej.

Czas téż abyśmy zobaczyli jak Ludwinia  
wyrosła i jakie wychowanie odebrała.

Do lat trzynastu uczyła się w domu ma-  
jąc ostatnie dwa lata nauczycielkę, która się  
stała rzeczywistym członkiem rodziny; tém uczu-  
ciem otaczali ją pp. Kaźmierostwo, i ona nawza-  
jem czuwała i rozwijała serce i umysł dziew-  
czynki jakby była własnym jej dzieckiem. Ksiądz  
z Łagiewnik nie pozwolił się nikomu wyręczyć

wraz przyjętych lekcyach, i choć mu lat przybyło wstawiał się na nie tak regularnie, jak dawniej do nauki Tadeusza. Okazywała Ludwina zdolności muzykalne, mając słuch dobry i pamięć tego co usłyszała, powtarzając rzecz każdą dziecinnym głosem jak najwyraźniej. Zakupiono więc dobry fortepian i rozpoczęto naukę.

Tak przygotowaną z ukończonym trzynastym rokiem oddano na pensyą w Poznaniu, u osób znanych z moralności i ukształcenia. Po trzech latach kiedy już ukończyła nauki klass, pozostała tam jeszcze przez rok kształcąc się w tém co chciano aby dokładniej umiała, a mianowicie w muzyce którą wielce lubiła.

Po czterech latach wróciła do domu, a tu przy pomocy rodzicielskiej nie przestała dopełniać swój edukacyi, porządném gruntownych dzieł czytaniem, a w muzyce oswajaniem się z utworami dawnych i nowszych wielkich mistrzów. Wkrótce téż zasmakowała w głębokiej muzyce Mozarta, Bethovena, Haydena, Rossyniego i innych, i rozumiała ją coraz le-

pięć. Nabierało też jej granie równie jak śpiew, jasności i wyrazu obok przyrodzonego czucia.

W miarę czasu przybrał i Ostrówek różną fizygnomią od dawniejszej. Chaty wiejskie pobudowane nowe lub dawne rozszerzone, wyglądały dostatnio i dla oka przyjemnie, otoczone sadkami owocowemi oddanemi na użytek mieszkańców — gunna obsadzone akacyami, topolami, brzezina, ogród pański rozrósł się w cieniste aleje i klomby, a wszystko razem stanowiło jeden wielki park. W pośrodku niego stał dwór murowany o ósmiu oknach z frontu gustownej architektury, składał on się z dość dużego salonu, z pięciu pokoi i potrzebnych gospodarczych schowań na dole; górna część podzieloną była na drobniejsze pokoje.

Salon byłumeblowany ze skromną starannością, z jaką zwykła była upiększać pani Kaźmierzowa wszystko około siebie — obicia na ścianach, franki, kanapy, fotele, zwierciadła takie jak wszędzie, lecz że je umiała rozstawić w pewnej harmonii, ozdobić haftami

i dodatkami dobrego smaku w narożnikach i oknach, poumieszczać w dobranych grupach egzotyczne drzewa i kwitnące kwiaty, salon więc przybierał cechę wykwintności.

Pominąwszy inne pokoje których meble były zastosowane do codziennego użytku, zajrzyjmy do pokoju Ludwini w którym teraz z bratem siedziała śmiejąca i rozmowna z robótką w rękę.

Był to nie wielki o jednym oknie pokój tuż przy sypialni matki, z obiciem na ścianie perłowego koloru, łóżko ostawione parawanem z białego muślinu z podciągnięciem różowym, także franki u okna i stósowny pers na czterech krzesłach głównem umeblowaniu pokoju. Zresztą była tu mała gotowalnia, dwa stoliki, jeden do pisania i rysunków, drugi do szycia, półki na dwóch przeciwnych ścianach, jedna z książkami, druga pełna ładnych frazdek, przypominających imieniny, gwiazdkę lub osoby życliwe. Nad łóżkiem wisiał obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a nad gotowalnią fotografii rodziców, brata, nauczycielki która w domu dawniej była, i sędziwego księdza

z Łagiewnik który ją chrzcił, prostował ję serce i kształcił umysł wspólnie z rodzicami.

Otoczyła wizerunki swoich ukochanych gałązkami zawsze zieleniejącego się bluszczu, i wazoniki z najpiękniej kwitnącemi kwiatami lubiła ustawiać pod niemi, i spoglądać na nich wśród bukietów i liści świeżej zieloności.

Siedziała tu już z bratem z jaką godzinę, przy otwartém oknie wychodzącém na trawnik, po za którym rozciągały się klomby drzew rozrzucone nade drogą prowadzącą do dworu, kiedy posłyszeli turkot pojazdu. Ciekawie więc spoglądali na drogę, chcąc poznać kto nadjeżdża.

„To pułkownikostwo“ — zawołał Tadeusz, biegnąc spiesznie przed dom, a siostra za nim.

Pani Czarnkowska czule ucałowała Ludwinę, a pułkownik z uśmiechem spoglądając na nią mówił:

„Nie śmiem już nazywać Ludwiną damę co ukończyła pensyą, ani witać po dawnemu. Proszę więc panny Ludwiki o rączkę do pocałowania.“

„Ludwinia! Zawsze dla pana pułkownika jestem Ludwinia!“ odrzekła panienka całując go w ramię, i podając mu jak dawniej swoje białe czoło na którym sędziwy sąsiad złożył pocałunek.

Lecz był tam ktoś trzeci z którym się Tadeusz serdecznie już był powitał, smukły i młody szatyn, z rysów i postaci bardzo do pułkownika podobien.

„Nie wiem czy mię pani poznałaś?“ zapytał witając ukłonem Ludwinię.

„Nie miałam poznać pana Zygmunta“ odrzekła z uśmiechem. I wprowadziła gościa do salonu na których powitanie nadeszła niebawem matka.

Ludwinia z Zygmuntem młodszym synem pp. Czarnkowskich, nie widzieli się przeszło dwa lata, w czasie jój feryi raz był z ojcem w dobrach w Galicyi, drugi raz towarzyszył słabój matce do wód, a pierwój jeszcze sam się uczył i nie był w tym czasie jak ona w domu.

Choć między niemi było kilka lat różnicy,

należała jednak Ludwinia w latach dzieci-  
nych do jego z Tadzkiem zabaw, i nazywała  
go Zygmsiem, jak on ją Ludwinią, od czasu  
dopiero jak poszła na pensyę zaczęła do Zyg-  
musia dodawać — pan, więc i on się domy-  
ślił że do Ludwini trzeba dodawać — panna,  
i choć z równą swobodą jak dawniej grali  
w obrączki, wolanta i piłkę, i dziewczynka  
śmiała się do niego równie wesoło i naiwnie  
jak do Tadzka, Zygmunt jednak przestrzegał  
już form grzeczności w obejściu z nią, jak  
gdyby słowo pan i panna, przypominały mu  
że Ludwinia już nie dziecko.

Ujrawszy teraz po dwuletniem niewidzeniu  
Ludwinię, wcale mu się zdawała inną niż da-  
wniej. Kiedy się w nią rozpatrywał niby  
miała te same drobne i regularne lekko za-  
okrąglone rysy, te same szafirowe w ciemnej  
losadzie oczy narysowane wąziutką brewką,  
i jasne włosy nad półotwartém czołem, i usta  
uśmiechem często odchylane z których wyglą-  
dały białe równe ząbki — w postaci tylko  
odmiana zaszła bo urosła o głowę, a choć

szczupła była i giętka nie miała już dziecka niesfornych ruchów.

Z tém wszystkiem, ta twarz białej i delikatnej płci widocznie odziedziczonej po matce, oczy nie zamącone żadném gwałtowniejszym uczuciem lecz jasne i przezroczyście jak strumień w dzień pogodny, czoło spokojne otoczone bogatemi jasno blond włosami, i postać wyrosła i upiękniona wdziękami ruchów, miały dla niego niewypowiedziany urok, i tak mu się zdawały nie zwykle a razem zgodne z pojęciem jego o piękności, że sam sobie po kilka razy powtarzał w duszy — jaka ona śliczna — spodziewałem się że będzie ładna ale nigdy że taka urocza.

Ta część która się rozbudziła w jego duszy dla jój wdzięków, odebrała mu w pierwszej chwili dawną braterską śmiałość, i usiadł o podał od niój nie przemówiwszy żadnego słowa.

Choć należał do rozmowy z Tadeuszem i ze starszemi panami, uważał jednak pilnie każde słowo przez Ludwinę wymówione prawie mimo swój woli, i każdy jój wyraz noto-

wał mu się w pamięci jak gdyby prawila coś nader mądrego. Ona zaś miała szczerą ochotę pogadać i pośmiać się z nim po dawnemu, zwróciła się nawet ku młodzieńcowi ze słowem na ustach, lecz spojrzawszy na niego zabrakło jej śmiałości i pomyślała: co za szkoda tak wypiękniał ale udaje jakąś powagę.

Po kawie poszli wszyscy do ogrodu żeby się ucieszyć ostatkami ciepła, i popatrzeć na prześliczne krzewy dalii, te królowe naszych ogrodów w porze jesienniej, na kwietniki co jak przepyszne kobierce rozciągały się daleko z jednej strony dworu, pełne skabiozów, astrów, powojów i nieśmiertelników.

Pani Kazmierzowa była lubowniczką kwiatów, i to zamiłowanie rozbudziła w całej rodzinie nie wyjmując męża. Wszyscy też myśleli o ich pielęgnowaniu, zaprowadzeniu pięknych gatunków dość że Ostrowek od najrychlejszej wiosny do późnej jesieni zachwycał każdego doborem i obfitością.

Ludwinia od najpierwszego dzieciństwa tak nawykła kochać kwiaty, troszczyć się o ich

wzrost i zdrowie, że w miarę rozwijającego się w niej poczucia piękna, równie ją zachwycaly jak zachwycają znawców arcydzieła sztuki. Z żywą swoją wyobraźnią umiała w każdym kwiatku dopatrzeć piękności i opisywać je z takim zapalem, że najpoważniejsze osoby spoglądały na twarz ożywioną i słuchały opowiadania ładniutkiej panienki z zajęciem.

Zygmunt ani też wiedział jak się zbliżył do niej kiedy z kwiatem skabiozy w ręku zwracała uwagę pułkownikowej na miękość aksamitną listków, na kształt i delikatny rysunek korony. Pani w ślad za jej opisem rozpatrując się w kwiatku przyznała się z uśmiechem, że choć już kilkadziesiąt lat przypatruje się skabiozom od tej chwili dopiero będzie umiała dostrzegać rzeczywistą ich piękność.

Zygmunt ujrawszy się obok Ludwini i Tadeusza w tych samych miejscach, jakie w latach dziecinnych w pośród zabaw i śmiechów po tyle kroć razem przebiegali, wspomniął o tém

a w miarę tych przypomnień wracała téż dawna swoboda obejścia i jemu i Ludwini.

Ta ostatnia wkrótce téż rozmawiała z gościem i śmiała się z tą samą naturalnością jak niegdyś kiedy szybko i zręcznie jak sarneczka przemykała się w pośród klombów i trawników w dziecinnych igraszkach.

Młoda trójka tak się téż rozgadała że pozostała o kilka kroków za resztą towarzystwa, przechodząc w rozmowie od kwiatów do muzyki, od muzyki do poezyi, od poezyi do wrażeń natury, a Zygmunt z zajęciem słuchał Ludwini, spoglądał na lekko zarumienione lica, i na pełne wdzięku ruchy wiotkiej postaci. Ona téż zapomniała wkrótce że go posądziła o udawaną powagę, i najzupełniej z nim się pogodziła.

Zaledwie całe grono powróciło z przechadzki, kiedy ujrzano karetę, a za nią kocz skręcający ku dworowi. Obyczajem mieszkańców wiejskich odgadywano kto może być, bo ekwipaże zupełnie nie znane.

Tymczasem gospodarz domu stał już na

progu witać niewiadomych gości. Z karety wysiadła jedna dama, za tą drugą, a wtedy pułkownikowa wracając na kanapę od okna wyrzekła:

„To pani Janowa Zarębska z córką.“

„A z koczka zsiada pan Jan“ dodał pułkownik.

„I Gustaw!“ zawołali Tadeusz z Zygmuntem.

Wtedy Pani Kaźmierzowa zwróciła się do dzieci, „Ludwiniu! Tadeuszu! chodźcie stryjostwo powitać.“

I wyszła z dziećmi do sieni, pocałowała bratową i Delfinę, powitała uprzejmie Jana i Gustawa, i przedstawiła przybyłym swoje dzieci które się schyliły do ręki stryja i stryjjenki.

Hrabina a za nią Delfina ucałowały Ludwinię.

Weszli wszyscy do salonu z pogodnemi twarzami — tylko dwóch braci Zarębskich mieli łzy w oczach, a Kaźmierz chwilę ich jeszcze nie mógł powstrzymać, widząc Jana starcem prawie, wychudłym, osiwiąłym i pochylonym.

Hrabina po powitaniu się z pułkownikostwem, którzy podług wszelkich form grzeczności zbliżyli się do niej i do córki, z uprzejmym uśmiechem i mnóstwem serdeczno-grzecznych słówek zwróciła się do bratowej.

„Oddawna pragnęłam żeby się dzieci nasze poznały, i nie wiem już wiele lat każdego roku projektowałam być u braterstwa, lecz zawsze były jakieś przeszkody, edukacje dzieci, wyjazd za granice, choroby, a potem podróż do wód. Tego roku powiedziałam sobie że koniecznie w Ostrowku być muszę, i cieszę się prawdziwie“ — dodała uściśnawszy rękę bratowej — „że tak to wszystko ślicznie zastaję. Ludwinia i Tadeusz wiem że są pełni przymiotów, słyszałam jak dobrą edukacją Ludwinia odebrała i ma piękny talent — bardzo ładnie śpiewa. A Tadeusz wysokich umysłowych zdolności, choć tak młody a już pełen nauki. Zawsze to przy rodzicach zasługa że umieli dzieci tak wychować.“

„Miło mi bardzo że się dzieci nasze poznają. Tadeusz bo się z Gustawem już znali“

przerwała pani Kaźmierzowa widocznie chcąc przeciąć grzeczności bratowy, których słuchała spuściwszy oczy. Co zauważawszy pani Czarnkowska zwróciła co prędzej rozmowę na piękne dni jesienne i przyjemność podróżowania w tym czasie.

Delfina poprawiwszy włosy w pokoiku kuzynki, i wyprostowawszy wolanty zielonej jedwabnej sukni, wróciła do salonu przyłączywszy się do grona pań, ponieważ Ludwinia odebrawszy krótkie instrukcye od matki poszła do gospodarstwa.

Służba dworska pp. Kaźmierzostwa powiększyła się teraz kucharzem i służącą do szycia — do posługi pokojowej pozostała wiejska świeża i czysta dziewczeczka jak dawniej. Piastunka Tadeusza i Ludwini, poczciwa Wojciechowa, już nie żyła, zastępowała ją w jej dziale gospodarczym dawna pokojówka Basia, teraz już stateczna wdowa.

Ludwinia przy jej pomocy zajęła się podwieczorkiem, który na prędce chciano podać gościom potrzebującym tego po całodziennej

podróży. Zastawiono więc tace kawą, konfiturami, szynką, masłem, chlebem, serem i wybornemi owocami, a dziewczeczka przy pomocy służącej poniosła to do salonu.

Hrabina z córką nie mogły się dosyć nacieszyć nad zręcznością i miłym wrażeniem posługującej dziewczeczki — hrabina dodała: że i ona już na podobny pomysł wpadała, słysząc od pani Radzewskiej jak wybornie w Ostrówku posługę odbywają wiejskie dziewczeczki, lecz dotąd nie mogła równie zręcznej wynaleźć.

Ludwina tymczasem wydawała wieczerzę dla państwa i ludzi, pościele i co było potrzeba, gdyż pani Kaźmierzowa kluczy nikomu nie powierzała, i córka trzymała się ściśle woli matki. Po dobrej godzinie poskromiwszy się zupełnie, już wolna na cały wieczór wróciła do salonu.

Nie zastała już pp. Czarnkowskich dla których spotkanie się z hrabiostwem zawsze było trochę męczącym, lecz Zygmunt nie kazał się Tadeuszowi długo namawiać, ale na pierwsze słowo propozycji chętnie w Ostrówku pozostał.

Delfina zdawała się Ludwini zachwycająco-piękną. Zastała ją w najlepsze rozmawiającą z Tadeuszem i Zygmuntem, a rozmowa płynęła wcale ożywiona, mimo iż obadwaj byli trochę nieśmiałyymi w towarzystwie obcych dam, a hrabiankę pierwszy raz widzieli.

Ludwinia nie mogła oczu od niej oderwać, majestatyczna postać, promienne czarne oczy, i pewność siebie jaka wybijała w głosie i spojrzeniu Delfiny, dla delikatnej i łatwo mięszającej się blondynki, miały urok niewypowiedziany.

Być może że i Tadeusz podzielał uwielbienie siostry dla kuzynki, lecz co do Zygmunta ten widocznie z większym zajęciem po kilka razy rzucił przelotne spojrzenie na Ludwinę, i w rozmowie na każde jej słowo z odpowiedzią uprzedzał wszystkich. Nie uszło to uwagi Delfiny, lecz widziała zarazem że Ludwinia niczego się nie domyśla.

Rzuciła na pół zazdrośnym okiem na jej ładną postać, z lekceważeniem przebiegła wzrokiem ubiór składający się z szafirowej merynu-

sowój sukni skrojonej pod szyję, rękawki i kołnierzyk muślinowy, włosy ułożone nawet nie podług ostatniej mody, a u warkocza zatknięta ciemna dalia. Zwycięstwo zdawało jej się nie trudne. Lecz przypomnienie Karola i upokarzające ją prędkie zapomnienie, zamąciły to zadowolenie z samą siebie.

Podniosła się, zbliżyła do fortepianu i uderzyła kilka akordów, chcąc rozpędzić gorycz co się cisnęła do piersi, kiedy właśnie matka jak gdyby myśli jej czytała, zwróciła się do Zygmunta.

„Pan nie tyle z twarzy, ile z głosu i ze sposobu tłumaczenia się przypominasz brata.“

„Pani znasz mego brata?“ zapytał.

„Poznaliśmy go tego roku w Ostendzie. I cóż robi pan Karol?“

„Pilnie gospodaruje.“

„Ale nie w Poznańskim?“

„Owszem o dwie mile stąd.“

„Czy zawsze zdrow i wesół?“

„Byłem przed kilku dniami u niego, zdrow i wesół.“

„Sam jeden mieszka i nie nudzi się?“

„Ma rządzcę dawniejszego ucznia gospodarstwa u mego ojca, miłego i ukształconego; przytém kilka domów przyjemnych w sąsiedztwie, to i dosyć na wsi.“

Hrabina rozpytała się po szczególe o te domy sąsiedzkie, lecz stósownej partyi dla Karola na całą okolicę nie widziała.

Delfina wysłuchawszy uważnie téj rozmowy wśród lekkich uderzeń po klawiszach bez związku i myśli, zaczęła grać huczny ustęp z jakiejś uwertury. — Ludwinia zbliżyła się do niéj.

„Proszę cię Ludwiniu! Zaśpiewajże nam,“ zawołała podnosząc się od fortepianu.

Ludwinia przestraszyła się tą propozycyą, wiedziała od Radzewskich o ślicznym i wyuczonym przez pierwszych nauczycieli europejskich głosie kuzynki, i o jéj wymagalnościach pod tym względem.

Delfina żeby ją ośmielić jak mówiła, zaśpiewała ze śpiewnika Moniuszki *Kwiaty*.

Rzeczywiście dodała tém odwagi Ludwini,

bo czuła, że pieśń tę choć inaczej, równie dobrze wyśpiewa.

I z tegoż śpiewnika wybrała: *Znasz-li ten kraj*, i usiadła do fortepianu.

Prześpiewała piosnkę z kolorytem właściwym myśli autora, czystym głosem sopranowym, choć nie zbyt mocnym, lecz dźwięczności metalicznej.

Delfina uczuła w piersiach zazdrość, nie spodziewała się takiego głosu, a co więcej takiej w nim giętkości, jak gdyby pierwsi mętwowie go kształcili. Lecz więcej pewnie jak śpiew kuzynki, nad którym wyższość głosu swego czuła, zaniepokoiło ją spojrzenie Zygmunta z jakim się w Ludwinę w czasie śpiewu wpatrywał, to w jęj oczy pełne słodkiego uczucia, to w lica lekko zapłonione.

Po skończonym śpiewie Zygmunt uczynił kilka ogólnych uwag, z których Delfina poznała że się wiele dobrej muzyki w życiu nasłuchał i ma własny sąd wyrobiony.

„Ja polskiej muzyki nigdy nie śpiewałam, dopiero jadąc do Ostrówka wyuczyłam się kilku

piosnek, wiedząc że tu wszystko co ojczyste lubicie," mówiła Delfina zwracając się z uśmiechem uprzejmym do Ludwini.

„Jakaś dobra, żeś nas nie znając, pomyślała o naszych upodobaniach," odrzekła blondynka uściskawszy czule rękę kuzynki.

Hrabianka na połowę powiedziała prawdę, jadąc tutaj uczyła się polskich pieśni, nie żeby zrobić przyjemność w domu stryjostwa; lecz Karol Czarnkowski wspominał jój o piękności narodowych śpiewów, spodziewała się że go tutaj spotka, boć w tym jedynie zamiarze i matka i córka wybrały się do Ostrówka.

„Ze śpiewu pani domyślam się, że najulubieńszą dla niej muzyką, a pewnie i wyłączną, są utwory najnowszych autorów francuzkich i włoskich," mówił Zygmunt do Delfiny.

„Więc pieśń polską z cudzoziemskim akcentem prześpiewałam," odrzekła z pół uśmiechem.

„Nic dziwnego skoro pani co tylko dotknęłaś muzyki polskiej."

„Słuchając śpiewu Ludwini uczułam całą

jój wyższość,“ odpowiedziała hrabianka spokojnie jakby dotkniętą nie była.

„Nie mów tego Delfinku, bo tego myśleć nie możesz,“ odparła druga z żywym rumieńcem pomieszania na twarzy.

Zygmunt milczał.

Delfina zacisnęła usta i spokojnie przewracała stosy nót leżące na półkach, wzięła z nich jeden poszyt i prosiła Ludwinę żeby z nią śpiewała.

Była to włoska muzyka na dwa głosy.

Delfiny głos był także sopran, ale większy niż kuzynki i wyrobiony prawie do instrumentalności — pewna téż siebie przeladowywała go trelami i pasażami, które się stały celem a nie ozdobą jój śpiewu.

Ludwinia ulękła się tego sztucznego głosu który po kilkunastu taktach rozwinął się już z całą świetnością, zdawało jój się że wcale śpiewać nie umie. Drżał téż jój głos z początku jakby powiany lekkim wiatrem, nie psuło to jednak czystości z jaką płynął z jój piersi. Nie długo odzyskała właściwą sobie

delikatność modulacyi, a choć tak dużo jak Delfina muzyki nie słyszała, lecz umiała się w każdą wsłuchać, ztąd w jój śpiewie była dobra intonacya i właściwy koloryt charakteru muzyki. Jeżeli hrabianka budziła zadziwienie, to Ludwinia swoim głosem za serce chwyciała, tak był sympatycznym.

Po skończonym śpiewie Delfina zadowolona z saméj siebie ucałowała kuzynkę, sypiąc najszczodrzéj pochwałami na jój słowicy głosik, jak się wyrażała. Druga przyjęła z dobrém sercem te jój grzeczności, choć jak mówiła z całą szczerością, pochyla czoło przed jój śpiewem, bo téż rzeczywiście zdumioną była tém co słyszała.

To wspólne zamiłowanie sztuki, zbliżyło kuzynki ku sobie prędzéj niżby się to było stało w codziennym biegu rzeczy, przynajmniej Ludwinie ośmielało to do Delfiny tak dalece, iż po prześpiewanej razem pieśni była z nią prawie serdeczną — zdawało jój się że każdy ton był słowem, każdy akord myślą poufnéj rozmowy.

Mile przeszło młodemu gronu resztę wieczoru, przeskakiwali od poważniejszej rozmowy do wesołej pogadanki, choć Gustaw żadnej nie przepuścił bez zaczepienia i pochwalenia się z własnym zdaniem — lecz Tadeusz zręcznie i wesoło odbijał te spory.

Zygmunt Czarnkowski był inteligentniejszym od starszego brata Karola, wyższy wzrostem i piękniejszy od niego, lecz za to mniej żywości, mniej młodzieńczości wyrażała jego zewnętrznosc. W rozmowie więcej refleksyi niż popędu serca, w obejściu więcej powagi niż serdeczności. Kiedy siedział milczący, wyraz twarzy miał zwykle spokojny, prawie zimny, w rozmowie dopiero ożywiała się częstym uśmiechem i wyrazistym spojrzeniem, które raz po raz dorzucił jakby na dopełnienie tego co mówił.

Delfina mimo swęj bystrości nie zdołała odgadnąć przez cały wieczór żadnej strony jego charakteru, tak trudno było zajrzeć przez tę chłodną powierzchnię w głębi duszy.

Usiłowała ona być przyjemną i była nią w istocie, posiadała łatwość mówienia o każ-

dym przedmiocie, nie z wyższym poglądem, ani z tém ciepłym świeżości jakiem pociągają ku sobie nie raz kobiety małego ukształcenia ludzi głębiej nawet myślących, ale z tą gładkością wprawy światowej z jaką się posuwała po posadzce salonów, uderzała klawisze fortepianu i robiła każdą inną rzecz, którą po wiele set razy już w życiu powtarzała. Taka technika nęci chwilowo ku sobie, choć wkrótce brakować w niej poczyna treści i ciepła dla osób co czegoś więcej potrzebują jak gry słów. Lecz Zygmunt, Tadeusz i Ludwinia, pierwszy raz Delfinę widzieli, i połysk światowości do jakiego nie nawykli olśnił ich najzupełniej.

Wprawdzie hrabianka odebrała świetną edukację, mówiła kilku językami dobrze, śpiewała jak wiemy uczenie, rysowała krajobrazy wcale poprawnie; wykładano jęj i historią i literaturę, zgoła wszystko co w kobiecej wyższej edukacyi przyjęte. Ale od czasu ukończenia nauk pośród ustawicznych zabaw i rozrywek, przejeżdżania z miejsca na miejsce, nie miała czasu ani ochoty do poważniejszego

zajęcia. Umysł się więc nie zbogacał, nie upiękniał, tylko giął coraz elastyczniej.

Po rozejściu się towarzystwa Kaźmierz serdecznie dziękował zawsze dla niego równie drogiej Zosi za uprzejmość pełną delikatności jaką okazywała braterstwu.

„Mój drogi Kaźmierzu — odpowiedziała ze łzami rozrzewnienia w oczach — dla twojej miłości z duszy serca przebaczyłam im tyloletne lekceważenie. Wiem, żebyś mi rad uścielał kwiatami drogę życia, a jabym ci miała dokuczać w osobie brata z którego zbliżenia się cieszysz?“ I uściskawszy dłonie popatrzyli z uczuciem serdecznego przywiązania na siebie.

Z całego grona domowych i goszczących, Ludwinia pewnie najszcześniejszą była z przepędzonego dnia, — postaci Zygmunta, Delfiny, Gustawa, przesuwaly się po tle jój wyobraźni i odtwarzały wrażenia jakich doznawała.

Zygmunta przypomnienie lubém było jój sercu, Gustawa obraz przesunął się przed okiem jój duszy bez żadnego wrażenia, choć

wyraziste jego oczy i dumne noszenie głowy zostały jój w pamięci.

Na Delfiny postać nie tryskał z jój duszy najdrobniejszy cień zazdrości, choć uznawała wyższość jój nad sobą, owszém z zajęciem przypominała sobie jój piękną majestatyczną powierzchowność, śpiew, pewność w ruchach i spojrzeniu, ani myśląc o porównaniu własném. Po kilka razy powtarzała sobie: ja ją kochać będę i ona mnie na wzajem. Kiedyśmy śpiewały czułam to jak najwyraźniej. I już na pół śpiąca uśmiechała się jeszcze na myśl tój przyszłej przyjaźni.

Delfina zaś złożywszy głowę na poduszki, nie była tak spokojną.

Wśród ciszy nocnej mogła się dopiero zastanawiać nad wielu ważnemi dla niej wypadkami, które zaszły przez te kilka godzin co przebyła w domu stryjostwa.

„Czyby to być mogło żeby Zygmunt Czarnkowski miał się zakochać w Ludwini i z nią się ożenić? — pomyślała z bijącym niepokojem sercem. To nie podobna! — Nie! to być nie

może! powtórzyła. Ale że to mężczyźni dziwaczne nie raz miewają gusta, nużby się Zygmuntowi na dobre upodobała świeża jej twarzyczka? Wyraźnie jej śpiew więcej go zajął od mego. I uczuła prawie nienawiść do Ludwini, i tak silnym ruchem rzuciła się na łóżku, że matka zapytała o przyczynę niepokoju

„Czy mama nie uważała że Czarnkowski zdaje się być na dobre zajęty tą małą w tybetowej sukni?“ szeptala siadając na posłaniu.

„Tegoby jeszcze brakowało,“ odpowiedziała matka unosząc się na poduszkach.

„Mama wie jakie mężczyźni nie raz głupie wybory robią.“

„Nie wiem coby mu się w niej podobało? czy toaleta jak femme de chambre, czy śpiew jak babki pod kościołem?“ mówiła hrabina.

„Może posag,“ dodała córka z goryczą.

„Cóż za posag w porównaniu jego majątku?“

„Mnie się zdaje z rozmowy co miał z mamą, że Karól wcale mu o nas nie wspominał.“

„A ja pewną jestem że wie o wszystkim, choć niby nie wiedział że go znamy.“

„Więc mu to mama z twarzy wyczytała?“  
pytała ciekawie córka.

„On za rozumny, żeby z jego twarzy coś wyczytać można. Odgadłam z ucinkowych odpowiedzi, widocznie się lękał żeby się nie wygadać.“

„Póki my tu będziemy, z pewnością się Karol nie pokaże,“ dodała Delfina.

„I przyjechałyśmy tutaj nie wiedzieć na co i po co,“ dokończyła hrabina.

„A wie mama co mi w téj chwili przyszło na myśl? Pozostać tutaj.“

„I to pod jakim pozorem?“

„Powie im, że się chcę nauczyć od stryjeczki gospodarstwa, od Ludwini muzyki, co bądź, a zobaczy mama że uwierzą,“ kończyła śmiejąc się.

„Ostrożnie Delfino! bo niech téż kto podsłucha,“ szeptala matka.

I ułożyły się znowu do snu, lecz i jedna i druga nie zaraz zasnęła.

Delfina nie wypowiedziała matce całej myśli która ją zachęcała do pozostania w Ostrówku, hrabina sądziła że to dla Karola Czarnkowskiego, co uważała za rzecz rozsądną, bo przecież tu po to jedynie przyjechały.

A tymczasem Delfina myślała — Zygmunt uchodzi w świecie za świetniejszą jeszcze partya od brata. Tu przypomnienie Karola ścisnęło jęj piersi upokorzeniem. On mię zapomniał.... i ja mu pokażę że m go zapomniała.... Ludwinia miałaby taką partya zrobić, dostać Czarnkowskiego?... I zacisnęła zęby jak gdyby ją nagle cierpienie związało.

Po chwili tak przykrego uczucia lżęj odechnęła, szczęśliwa myśl przesunęła jęj się przez głowę.

Ona Zygmunta jeszcze nie kocha, pierwszy co jęj szepnie słowo miłości do ucha, może ją rozmarzyć... Nie masz co czasu tracić, niechby się w nięj Gustaw rozkochał?... Cóż to szkodzi, żenić się z nią nie potrzebuje. Czarnkowski nie zajęty nią do tego stopnia, żeby go to od

niej odsunąć nie miało.... I w dalszym ciągu wypełniała szczegółami ten pierwszy zarys.

Hrabina ciężką robiła z siebie ofiarę, przestępując próg domu braterstwa, niechęć wieloletnia ukryta w głębi duszy do Kazmierza, nie wyląa jeszcze, wieści o jego szczęściu domowém jakie ją nie rãz dochodziły, gniewały ją i odżywiały w jój piersi nienawiść, którą rozciągała do żony i dzieci jego.

Niemniej téż teraz była zaniepokojoną jak Delfina, przypuszczeniem że Zygmunt Czarnkowski miałby się żenić z Ludwinią, porównawszy ją jednak z własną córką, zdawało jój się niepodobieństwem, aby widząc je razem mógł się ktoś wahać w wyborze.

Uniosła się więc znowu na posłaniu, mówiąc przyciszonym głosem.

„Na dobrą myśl wpadłaś — trzeba żebyś tu została. Nie podobna żeby młodszy Czarnkowski dał im się usidlić, on jest lepszy i ładniejszy od starszego brata,“ dodała z przyciskiem.

Córka nic nie odpowiedziała, nie nawykła

przed matką otwierać wszystkich swoich myśli, nie umiała głośno przy jój piersi marzyć, nie lubiła nawet kiedy się wdzierała odgadawaniem w tajemnice jój duszy, gdyż hrabina dużo miała despotyzmu w charakterze, usiłowała swoją wolę narzucać córce, którą ta nie zawsze przyjmowała z ufnością. Ztąd wyradzały się nie raz spory jakie nie miały innego skutku, tylko że rozdrażniały jedną i drugą. I tą razą nie rada była Delfina że się ich myśli schodziły, wolałaby była ukryć swoją przed badawczym wzrokiem matki, który jój często ciężył jak każdy niepożądany świadek.

Nic dziwnego że główném pragnieniem Delfiny na téj ziemi była dobra partya czyli bogate zameźcie, że jój serce wzdymało się zazdrością jeżeli która z rówiennic szła bogato za mąż. Jakże mogło być inaczej kiedy od najmłodszych lat słyszała o tém, jako o jedynym celu który winna osiągnąć. Pielegnowano jój wdzięki, kształcono umysł, rozwijano talenta, strojono, wprowadzano w gwar-ny świat, a to wszystko tylko dla tego, żeby

zrobiła dobrą partya. Bardzo więc naturalnie że każdy mężczyzna należący do dobrych partyi, za lada pozorem stawał się bohaterem jój marzeń, przypuszczając że to już jest ta pożądana partya, a z czasem nabywszy śmiałości nie wahała się różnych sztuczek używać, aby przecież już raz ten jedyny cel życia osiągnąć.

Pokutowała za grzech pierworodny owoc nierozwagi rodzicielskiój.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



